CENA 2 ZŁ

BIAŁYSTOK KIELCE LUBLIN RZESZÓW

Kamena

LUBLIN 28.II.1966 Nr 4 (337) R. XXXIII DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY Wychodzi od 1933 r.

Listy do Szczepanika

(Patrz str. 6 - 7)

Fot. A. Polakowski

SERGIUSZ JESIENIN

Pierwszy śnieg

Jadę. Cicho. Słychać dzwony
Pod kopytem, śnieg lśni w krąg.
Tylko wrony, szare wrony
Z krzykiem wzbiły się od łąk.

Baśń snu bór zaczarowała.
Drzemie teraz cały dzień.
Sosna jakby chustą białą
Owinęła dziwny pień.

Przygarbiona jak starucha,
To o kiju idzie w świat.
I wierzchołka, z sęka głucho
Stuka dzięcioł, skrzypi wiatr.

Skacze koń, przestrzeni wiele,
Sypie śnieg, rozściela szal.
I umyka wstążką bieli
Nieskończona droga w dal.

Z rosyjskiego przełożył
Jerzy Pleśniarowicz

Fot. J. Olma

Białostockie Towarzystwo Kultury

STANISŁAW ŚWIERAD

Mecenas z głową

KULTURY nie można wtłoczyć w surowe, biurokratyczne formy organizacyjne. Prawda znana, będąca od dawna truizmem. Dlatego trudno mieć sceptyków za złe, że z pewnym niepokojem, obawą, a nawet sprzeciwem obserwowali proces tworzenia nowej instytucji — Białostockiego Towarzystwa Kultury. Byli i tacy, którzy po prostu nie wierzyli, że towarzystwo istotnie powstanie. Ubawili projekty kilkunastu zapaleńców za przysłowiowy „słomiany zapał".

A jednak, towarzystwo powstało. Odbył się zjazd, wybrano władze, uchwalono statut, opracowano program działania na najbliższą przyszłość. Więcej, chociaż towarzystwo istnieje dopiero kilka miesięcy, spotkało się ono jednak w Białostockiem z życzliwym, serdecznym przyjęciem. Akces do BTK zgłosiło wielu znanych działaczy społecznych, kulturalnych, a także naukowców.

Zanim przejdę do konkretnych zamierzeń BTK chciałbym poświęcić kilka słów jego poprzednikowi w pewnym sensie — Towarzystwu Miłośników Ziemi Białostockiej, które także miało ambitne plany, ale wkrótce upadło. Próby reaktywowania tego towarzystwa zakończyły się niepowodzeniem. Wydaje się, że pisząc o BTK należy zwrócić uwagę na zasadnicze różnice pomiędzy tymi dwoma organizacjami.

Towarzystwo Miłośników Ziemi Białostockiej nosiło charakter towarzystwa kulturalnego. Ale obok zamierzeń w dziedzinie kulturalnej stawiało sobie szerokie zadania gospodarcze i społeczne. Orga-

(Dokończenie na str. 5)

SAGA RODU PIENIACZY

JAN KOŁKOWICZ

POPRZECINANA kanałem Wieprz - Krzna wieś Walinna leży pośród zielonych pastwisk. Stare chałupy z poczerniałą strzechą trwają w jesiennym słońcu. Pochyliły się nisko ku ziemi spróchniałe stodoły. Obok domostw przykucnęły zachwaszczone ogródki, gdzieniegdzie pręży się ku słońcu niebieskie malwy. Jakaś nędzna pasieka z porozwalanymi daszkami uli... Wszystko to przystadło za opłotkami, którym też niewiele brakuje, żeby się rozleciały; tu i ówdzie opadły na ziemię czernidle jerdze, wykoślawiły się zielone od mchu sztachety... Bieda wdzięknięta czterema odrębnymi skupiskami wiejskich strzech pomiędzy zielone łąki. Tkwią niby urągowisko w tej czystej zieleni opasanej niebieską wstęgą kanału. Każde z owych słomianych skupisk wiejskich posiada przecież swą odrębną nazwę. Stara Wieś, Sachalin, Zakanale, Kamienna...

Jak Zabłocki na mydle

— U nas we wsi to jak w Warszawie — w głosie miejscowej nauczycielki trudno usłyszeć ironię. — Cztery dzielnice to już nie taka wyczajna wieś, prawda?

U węgła starej chałupy chuderlawy chłopina pilnuje ułożoną na koźle kłodę drzewa. Odpoczywa chwilę, a potem, nabrawszy oddechu, powraca do przerwanej pracy. Znów piłuje zawzięcie. Nie nasz widok przyssaje i patrzy z ciekawością.

— Ciężko, panie! — rękawem ociera czoło.

— Gdyby elektryfikowano wieś — powiadam — byłoby na pewno inaczej. Mielibyście światło, siłę... Piła elektryna wyręczyłaby was w robocie.

— Ano, winie — wzdycha stary — A tak inaczej...

Minęły właśnie trzy lata od pierwszej szansy, jaka zamierzano zelektryfikować ramach planów powiatu radzyńskiego. Za elektryfikacją Walinny przemawiała bliskość wody kanał. Przyjechali z powiatu. W miejscowej szkole ogłoszono zebranie. Zjeli się więc gospodarze ze Starej Wsi i z Sachalina, z Zakanala i Kamiennej... Delegaci z powiatu rzedstawili projekty. Połowę kosztów miało pokryć państwo, resztę — wieś, w tym robocizna w ramach czynów społecznych. Trzeba było opodatkować się od komina. Zawrzało.

— Co, gić? — Wołali jeden przez drugiego.

— Nie chcemy! Nie będziewa!

— Tyle lat nie było elektryki to i dalej nie zeba — wołali chórem — nasze o żyli bez światła to i my nie zginewa!

Ci z powu machnęli ręką. Szkoda słów. Elektryfikacja Walinnej została skreślona z planu. Zamiast niej zelektryfikowano wieś Żelizną. Chłopi z Walinnej przejeżdżają tamtędy bardzo często i teraz z zazdrości wychodzą niemal z siebie. Jeżdżą też do powiatu i błagają. Opamiętali się — ale zbyt późno.

Stary chłopina wbija we mnie pytający wzrok.

— A wy skąd? Z powiatu, panie? Jak jesteście urzędnikiem, to pomóżcie nam z tym światłem.

Przeczę głową.

— Nie jestem urzędnikiem. Piszę do gazet.

Chłopina jeszcze bardziej wlepia we mnie swój wzrok. Prostuje spracowany tułów.

— O, to możecie nam pomóc. Jak długo jeszcze będziemy się tak męczyć bez tej elektryki? Napiście o tym.

Milicjant, który mnie tu przywiózł, szepcze do ucha, że kiedy odbyło się przed trzema laty owo zebranie w szkole, to tenże chłopina piekli się najwięcej. Siadamy na motor.

Śladami antagonizmów

Ta chałupa kryta jest eternitem. Prawie nowa, o pomalowanych na żółto ścianach. Wyróżnia się wśród innych okazałym kształtem i wiejską nowoczesnością. Jest wieczór. Okna migocą blaskiem lampy naftowej. Z wnętrza dochodzi pomieszany gwar głosów, piski kobiet, pokrzykiwanie pijanych. Orkiestra różnie na całego „Głęboką studzienkę". Zdyszane pary wirują w smrodzie dymu tytoniowego i alkoholu. Tu cwaniak to pan. W małej sieni bufet. Tłok nie do opisania. Wyrostki o zaczerwienionych twarzach „tankują" wprost z butelki. Gdzieś w ciemnościach rozległy się krzyki. Kogoś leją. To Stara Wieś zorganizowała zabawę.

Wychodzę z chałupy. Jestem wykończony. Chłód wieczoru orzeźwia twarz. Za domostwami Starej Wsi czernieją w mroku łąki nakryte gęstą mgłą. Tamtędy biegnie kanał. Jeszcze dalej jest Zakanale, skąd niby echo niesie się głuche dudnienie werbla i dźwięk harmonii. Druga zabawa.

Przewodniczący Prezydium Gromadzkiej Rady w Wiskach opowiada:

— Tutaj tak zawsze. Jak Stara Wieś zrobi zabawę, to w konkury uderza Zakanale albo Sachalin, żeby jedna wieś nie dała drugiej dochodu. Często zdarzają się bijatyki — ciągnie przewodniczący. — Nożowników tu nie brakuje. Bije się zwykle młodzież ze Starej Wsi z młodzieżą Zakanala albo z Sachalina. Niby jedna wieś, a wzajemnie się nienawidzą. Taka już tradycja...

Słucham dalekiego werbla z Zakanala. A i tutaj różnie sobie har-

(Dokończenie na str. 4)

W PARTYZANTKA

JÓZEFA RADZYMIŃSKA

WSPOMNIENIE tamtej łączniczki powracało do Grzegorza jeszcze długo potem jak się ożenił; zdawało się nieodłącznie związane z owym czasem, który zwykł określać najpiękniejszą młodością, choć była to młodość gorzka i najokrutniejsza, nad którą zawisła groza śmierci — synonim wojny.

Dziewczyna przybywała do oddziału w lasach parczewskich kilka razy i właściwie niewiele z nią rozmawiał. Kiedy stawała na progu owej lepianki, wyłożonej mchem, gdzie urzędował, meldowała się bardzo służbiście, wyjmowała z zakamarków ubrania zwitki papieru i rozkazy, czekała aż to przejrzał nie odzywając się, a choć była widocznie zmęczona, nie usiadła nigdy, zanim jej o to nie poprosił. Z początku nie zwrócił na nią uwagi, dopiero któregoś dnia, kiedy przyszła z wichury i śnieżycy pół żywa i zmarzniętymi rękami nie mogła nawet rozpiąć palta, pomógł jej, zdjął też fokowy kapturek i wtedy zobaczył, że jest śliczna w fali czarnych, połyskliwych włosów. Mimowoli ogarnął go żal nad tą pięknością, która zdawała się zupełnie bezużyteczna tu, w lesie, w śnieżycy, w niebezpieczeństwie i wojnie, gdy na każdym kroku czyhała śmierć, tak bardzo już zwykła, że się na nią przestało zwracać uwagę.

Dziewczyna miała pseudonim „Brzoza". Nic poza tym o niej nie wiedział. Pseudonim Brzoza pasował do niej bardzo, jakkolwiek była przecież taka ciemna i smagła, z falą swoich połyskliwych, niespokojnych włosów, a brzozy kojarzą się z białością i ciszą.

Rozcierał jej zmarznięte palce i częstował bimbrem, gdyż niczego innego nie miał, a ona się wzbraniała, mówiąc, że bimber jej szkodzi.

— Szkodzi? — uśmiechnął się. — A nie zna pani tej piosenki „My młodzi, my młodzi, nam bimber nie zaszkodzi"? — zażartował.

Uśmiechnęła się. Zęby miała równe i białe. Zdawały się mocne, jak u młodego wilczka. Ostrożnie wypiła parę łyków bimbru, starając się ukryć obrzydzenie.

— Traktuję to jak lekarstwo — powiedziała. — Bardzo przemarzłam i boję się dostać grypy.

Nagle zapragnął niedorzecznie, aby właśnie rozchorowała się i została tu z nim, w tej lepiance, wyłożonej mchem.

Ona jednak zbierała się już do drogi. „Pociąg mi ucieknie" — mówiła. — Na skraju lasu ma czekać na mnie furmanka".

Pomagając jej włożyć palto, w sposób nieopanowany przytulił ją do siebie. Na chwilę znieruchomiała w tym objęciu, a jej ciemne, prawie granatowe oczy spojrzały z lękliwym pytaniem. Wyczuł ową nieuchwytną, dobrą słodycz, ową spokojną ciszę, za którą tęsknił, a która go wzburzyła.

Dziewczyna wysunęła się z jego ramion, poprawiła fokową czapeczkę i uśmiechnęła się: „Czołem, poruczniku"!

Te dwa słowa miały mu przypomnieć, że nie mogło tu być miejsca

(Dokończenie na str. 4)

ŁAGODNE lądowanie na Księżycu jest premierą, która odegra rolę doniosłego etapu w historii badań i podboju Kosmosu. Jest to nowy i zasadniczy etap na drodze do pierwszego lądowania załogi ludzkiej na Księżycu. Byłoby rzeczą naprawdę nie do pomyślenia, gdyby przystąpiono do realizacji takiego projektu bez uprzedniego wypróbowania z powodzeniem niezwykle skomplikowanych urządzeń, które pozwalają, aby pojazd kosmiczny łagodnie spoczął na obiekcie kosmicznym pozbawionym atmosfery. Jest to zadanie tym trudniejsze, że nie wiadomo dokładnie, jaki jest charakter gruntu, na którym pojazd ten ma spocząć".

Tak pisał naukowy korespondent agencji France Presse o największej (dotychczas) kosmicznej rewelacji 1966 roku, dodając:

„Sukces ten świadczy również o wyraźnej przewadze ZSRR nad Amerykanami w dziedzinie podboju Księżyca. Pierwsza amerykańska próba dokonania miękkiego lądowania na Księżycu odbyć się ma dopiero w maju br. i sami Amerykanie twierdzą..., iż niewiele przemawia za udaniem się tego nowego przedsięwzięcia technicznego już za pierwszym razem".

Mamy luty 1966 roku. Gazety codzienne przynoszą na pierwszych stronach zdjęcia, które jeszcze nie tak dawno Verne czy Żuławski uważaliby za szczyty fantazji. Obok krajobrazu Księżyca oglądamy jednak inne obrazy. Budzące lęk. Oburzenie.

Oto pacyfikacja wsi wietnamskiej. Płonące chaty. Zwęglone zwłoki. Żołnierz amerykański pali worki z ryżem.

Oto zryta bombami ziemia. Nad nią cień skrzydeł amerykańskiego bombowca.

Oto szpital wietnamski. Nad ciężko rannymi pochyla się lekarz. Mężczyźni, kobiety, dzieci...

Uporny kontrast. Symbol czasów, w których żyjemy.

Brytyjski „New Statesman" pisał niedawno: „Gdy niemieckie bombowce zmasakrowały w biały dzień targowy baskijskie miasto zwane Guernica, prezydent Johnson był młodym kongresmenem. Czy to wydarzenie wywarło na niego jakiś wpływ — nie wiemy. Wydarzenie to stało się natchnieniem do stworzenia pełnego bólu dzieła sztuki, wywołało wstrząs i fale protestów w całym świecie cywilizowanym, stało się symbolem rozpętanego bestialstwa.

Te niewinne dni mamy dawno za sobą: jedna Guernica dziennie — to rzecz całkiem banalna. Powstrzymanie się od popełnienia takich okropności przez całych trzydzieści siedem dni uważane jest za cnotę.

... Od czasów Guernici nauczyliśmy się jednego, mianowicie, że okrucieństwo wzmogło opór Basków wobec generała Franco, naloty na Coventry i Londyn wzmocniły opór Brytyjczyków wobec Hitlera.

Bomby — kończy „New Statesman" — wywierają wpływ na rozmowy rozbrojeniowe w Genewie, na stosunki międzynarodowe na wszelkich szczeblach, na perspektywy takich posunięć, jak zapowiadana wizyta premiera Wilsona w Moskwie..."

Polityka amerykańska w Wietnamie wzbudza niepokój wśród wielu sojuszników USA. Jedynie NRF nie ma żadnych skrupułów. Rząd boński wyasygnował już w formie pomocy dla reżimu sajgońskiego około 100 milionów marek. Na razie jest to pomoc ekonomiczna. Ale coraz głośniej mówi się w Bonn o tym, że NRF gotowa jest również udzielić Stanom Zjednoczonym pomocy militarnej. Podobno rozpoczęto nawet przygotowanie do werbunku ochotników z Bundeswehry i z oddziałów tzw. „obrony terytorialnej" celem wysłania ich do Wietnamu Południowego.

Co trzeźwiejsze dzienniki zachodnioniemieckie zdają sobie dobrze sprawę, czym w praktyce groziłaby realizacja tego rodzaju planów.

„Frankfurter Algemeine Zeitung" tak to komentuje:

„Możliwość osiągnięcia nawet najskromniejszej normalizacji stosunków Republiki Federalnej z Moskwą byłaby całkowicie wyeliminowana, jeśliby Republika Federalna włączyła swój militarny lub quasimilitarny instrument do w najwyższym stopniu niebezpiecznego trójkąta Waszyngton — Pekin — Moskwa... Nikt nie odniósłby z tego korzyści. Mogłoby to tylko przynieść szkody, bowiem w takiej sytuacji nie można by już mieć nadziei, iż kiedyś ulegną poprawie stosunki niemiecko-radzieckie".

Najbliższe tygodnie przyniosą odpowiedź na pytanie, jakie ostatecznie stanowisko zajmie NRF. W każdym bądź razie faktem bezspornym jest, że niektórzy generałowie Bundeswehry chcieliby potraktować Wietnam jako poligon doświadczalny. Nie wymyślili niczego nowego. Hitlerowski Wehrmacht przechodził chrzest bojowy na polach Hiszpanii.

Tymczasem w Honolulu zakończyło się spotkanie prezydenta Johnsona z marionetkami sajgońskimi. Na podstawie pobieżnej nawet analizy końcowego komunikatu widać, że amerykańska agresja ulegnie zaostrzeniu. „Przywódcy" Wietnamu Południowego nie przebierali w słowach podczas konferencji prasowej. Ich zdaniem należałoby zbombardować Hanoi i Haifong. Z góry odrzucili wszelkie możliwości rokowań z przedstawicielami FWN i odżegnali się od perspektywy utworzenia kiedykolwiek rządu koalicyjnego z udziałem FWN.

Nie rozmowy z FWN ale kapitulacja FWN — oto do czego sprowadza się polityka amerykańska w Wietnamie. Zaślepienie, niedostrzeganie realnych faktów, nieliczenie się z rzeczywistością i sprowadzanie wszystkiego do pobożnych życzeń, a w sumie balansowanie na krawędzi ogólnoświatowej zawieruchy — taki jest Waszyngton anno 1966. Dulles święci triumfy zza grobu.

ma-jaw

Inicjatywy kulturalne

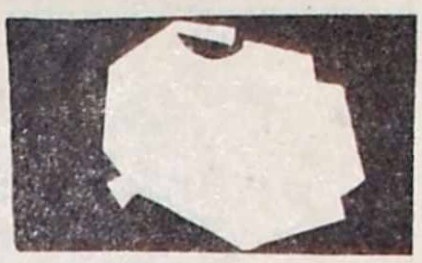

Pogoń za światłem

JAN KOPROWSKI

Łódź? A co to za miasto?
(Słowa pewnego turysty)

W STYCZNIU br. łódzki świat uniwersytecki święcił jubileusz 40-lecia pracy naukowej Stefanii Skwarczyńskiej. Z tego czterdziestolecia bogatej i owocnej działalności jubilatki, 33 lata przypadają na jej pobyt w Łodzi. Uroczystość była podniosła i doprawdy wzruszająca. Przemawiali jej dawni współpracownicy i obecni koledzy uniwersyteccy, przyjaciele i uczniowie. Jeden z mówców, znany pisarz, powiedział między innymi (cytuję z pamięci): „Zastanawiałem się nieraz, dlaczego Stefania Skwarczyńska porzuciła piękne miasto Lwów, gdzie się habilitowała, dla Łodzi, tak przecież szarej i bezbarwnej. Czyżby pociągnęła ją, siłą kontrastu, ta właśnie szarość?" Mówca snuł dalej domysły, które, choć ciekawe, nie mogą zostać przytoczone, jako że nie im pragnę poświęcić swoje rozważania.

Otóż, proszę sobie wyobrazić, że w tym szarym fabrycznym mieście dzieją się rzeczy zastanawiające. Łódź, o której w latach trzydziestych Zygmunt Nowakowski napisał w jednym z felietonów, że „wciąż jeszcze czeka ona na swego Nerona", ta Łódź, gdzie z natury rzeczy dominują problemy ekonomiczne i gospodarcze, bytowe i socjalne (w żadnym z miast polskich nie pracuje tyle kobiet w przemyśle co tutaj), posiada co najmniej kilka stałych dorocznych imprez literackich. Zmarł śmiercią naturalną poznański Festiwal Poetycki, przestała egzystować bydgoska Wiosna Poetów, pogasły tak liczne niegdyś (nie tak znowu dawno) spotkania poetyckie w kilku innych miastach polskich. A Łódź się trzyma. Nie tylko nie utraciła niczego z dawniejszych inicjatyw, lecz przybyły jej jeszcze inicjatywy nowe, będące dopiero w stadium rozwoju — na dorobku.

Najstarszą łódzką imprezą jest Łódzka Wiosna Poetów, organizowana rokrocznie już od lat ośmiu. Jest to impreza znana, o charakterze ogólnopolskim, połączona z konkursem i spotkaniem młodych autorów z całego kraju. Z konkursów Łódzkiej Wiosny Poetów wyszli dziś już znani poeci jak Andrzej Tchórzewski, (debiutujący w Lublinie), Zenon Bordowicz, Andrzej Stanclik, Kazimierz Świegocki i inni. Ma ona już ustaloną opinię i budzi duże zainteresowanie we wszystkich środowiskach młodych początkujących poetów. Interesują się nią również i starsi pisarze (Aleksander Rymkiewicz, Stanisław Czernik, Jalu Kurek, Marian Piechal), zasiadający z reguły w jury lub występujący z odczytami o problemach współczesnej sztuki poetyckiej w Polsce i na świecie.

Od dwóch lat egzystuje w Łodzi Jesień Poetycka, organizowana przez redakcję „Dziennika Łódzkiego" i oddział Związku Literatów. W roku ubiegłym zgłosiło akces do Jesieni Poetyckiej jako jej współorganizator i uczestnik środowisko koszalińskie. Impreza ta nie ma charakteru ogólnopolskiego, ale wykorzystując tzw. współpracę miast (Łódź — Słupsk — Koszalin) zapowiada się jako ciekawa i pożyteczna impreza wydziałów kultury rad narodowych, dziennikarzy i literatów. Doświadczenia, które mamy za sobą, każą się spodziewać, że Jesień Poetycka będzie z roku na rok rozszerzać swój zasięg, a turniej młodych poetów gromadzić będzie nie tylko twórców, lecz i odbiorców poezji. Tu trzeba powiedzieć kilka słów o tych ostatnich.

Rozpoczynamy cykl artykułów „Inicjatywy kulturalne". Zwróciliśmy się do literatów i dziennikarzy z Łodzi, Krakowa, Opola, Katowic, Zielonej Góry, Wrocławia, Szczecina, Bydgoszczy, Koszalina, Gdańska, Olsztyna i Poznania z prośbą o nadesłanie materiałów na ten temat. Sądzimy, że niektóre inicjatywy kulturalne warto upowszechnić i w naszych wschodnich województwach. Dziś Jan Koprowski prezentuje Łódź.

Jest tajemnicą poliszynela, że czytelnictwo poezji w Polsce zmalało. Niczego w tym obrazie nie zmieni fakt powodzenia miesięcznika „Poezja", którego nie można dostać w kioskach, gdyż, po pierwsze, nakład pisma nie jest duży, a po drugie: na nowe pismo rzucają się wszyscy. Poczekamy, zobaczymy. Ten kryzys czytelnictwa poezji nie nastąpił jedynie z winy odbiorców. W równej co najmniej mierze zawinili tu sami poeci, którzy powiększają ten rozdźwięk stronieniem swoich utworów od spraw społecznych i narodowych, tworzeniem języka hermetycznego, niekiedy pełnego dziwactw i zawiłości. Celem łódzkich inicjatyw jest zniesienie, przynajmniej częściowe, tego rozdziału między poetami a ich odbiorcami, właśnie przez stałe doroczne kontakty, spotkania i publiczne dyskusje. Głośne czytanie wierszy przez aktorów przyczynia się do lepszego rozumienia współczesnej poezji, a wspólne rozmowy twórców i czytelników doprowadzają do wyjaśnienia wielu narosłych uprzedzeń i nieporozumień.

Trzecią, również doroczną imprezą literacką, jest konkurs o nagrodę „Czółenka". W tym konkursie poeci i prozaicy występują razem, gdyż impreza ta, organizowana przez Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy (przy poparciu łódzkiego Związku Młodzieży Wiejskiej), odbywa się w trzech grupach: poezji, opowiadania i reportażu. W tym wypadku Łódź współpracuje z Opolem, ale najciekawszą i najcenniejszą stroną akcji „Czółenka" jest to, że biorą w niej udział młodzi początkujący pisarze z terenu. KKMP to nowy, niepodobny do innych ruch literacki, grupujący młodych poetów i prozaików, rozsianych po całym kraju, inicjujący wydawanie jednodniówek i almanachów, pobudzający do twórczego działania małe ośrodki prowincjonalne. Najlepsze (nagrodzone i wyróżnione) prace literackie z kilku konkursów „Czółenka" ogłosi w roku bieżącym Wydawnictwo Łódzkie w specjalnym tomie zbiorowym.

Nie wyczerpują się na tym „kolorowe wydania w szarym mieście". Również od paru już lat łódzkie Zrzeszenie Studentów Polskich organizuje w „Klubie Studenta" turniej jednego wiersza. Jako obserwator i juror tego turnieju, mogę powiedzieć, że jest to impreza ogromnie sympatyczna, a dzień, w którym się odbywa, stanowi dla młodzieży prawdziwe święto. Wchodzą tutaj w szranki najmłodsi adepci sztuki poetyckiej z wydziałów filologicznych. Ale nie tylko. Rzecz w tym, że studencki Turniej Jednego Wiersza budzi zainteresowanie także wśród politechników, przyszłych aktorów i elewów Akademii Medycznej. Skoro jestem przy środowisku studenckim, wspomnę, że właśnie w Łodzi rozwinęły się bujnie teatry studenckie, dość wspomnieć STS „Pstrąg" czy „Cytrynę" — obydwa zespoły znane w kraju, nagradzane na konkursach, ba! „Pstrąg" święcił triumfy na akademickich festiwalach zagranicznych.

W tym roku odbędzie się w Łodzi inauguracja jeszcze jednej, nowej imprezy literackiej, która powinna przeistoczyć się w stałą coroczną imprezę ogólnopolską. Oto przy wydatnej pomocy finansowej władz miejskich oddział ZLP w Łodzi zorganizuje Festiwal Poezji z bogatym, co najmniej dwudniowym programem. Przewidziane są konkursy dla młodych poetów, zajęcia seminaryjne, odczyty, wieczory poezji poetów młodych i starszych, wycieczki po Łodzi i okolicy. Stroną organizacyjną zajmie się Towarzystwo Przyjaciół Łodzi — instytucja bardzo czynna i żywotna, która zrobiła bardzo wiele dla rozwoju życia kulturalnego w swoim mieście.

To, o czym powyżej napisałem, jest dla nas, mieszkańców Łodzi, zdumiewające. Prawdziwa eksplozja poezji, bania z poezją — jakby powiedział Władysław Broniewski. Czy nie kryje się w tym tęsknota miasta i jego ludzi, a przynajmniej niektórych środowisk, do wyjścia poza codzienność, znaczoną kominami, dymem i turkotem maszyn włókienniczych? To chyba nie przypadek że tutaj, w Łodzi, powstała przed wojną grupa artystów — plastyków „ar", że tutaj Władysław Strzemiński pisał swoją „Teorię widzenia", a nieżyjący już, niestety, Marian Minich (patrz: jego książka wspomnień „Szalona galeria") założył pierwsze i bodaj dotychczas jedyne w Polsce Muzeum Sztuki Współczesnej.

Łódź, nie obciążona zanadto tradycją i wielowiekową przeszłością, jest miastem dynamicznym, otwartym ku przyszłości. Może dlatego, mimo swej pozornej szarości i monotonii, sprzyja powstawaniu inicjatyw literackich i artystycznych, które czymże są, jeśli nie pogonią za ruchem, światłem i barwnością?

Przegląd PRASY

UKAZAŁ się swego czasu w „KULTURZE" artykuł Wilhelminy Skulskiej na temat służby zdrowia i sytuacji społeczności lekarskiej w obecnych warunkach. Artykuł w oparciu o sumiennie zgromadzony materiał rozbijał wiele mitów, które narosły wokół zawodu lekarskiego. Ten temat podjął na tych samych łamach Marcin Kacprzak, nie tyle polemizując z artykułem Skulskiej, ile do niego nawiązując. Autorowi artykułu „*W służbie zdrowia każdemu według jego potrzeb*" chodzi o jeden wycinek zagadnienia, ale bardzo drażliwy, a społecznie ważny: o sprawę dodatkowych wynagrodzeń lekarza, pobieranych od pacjenta za leczenie w czasie, za który ią wynagradzani przez państwo. Autor artykułu nie rzuca gromów, nie poucza, próbuje rzecz zrozumieć i wyjaśnić, bowiem — jak słusznie M. Kacprzak zauważa — zjawisko pobierania dodatkowych, bezprawnych wynagrodzeń jest zjawiskiem szerszym, lecznictwo otwarte stanowi tylko jeden z wycinków. I dlatego: „*Walka musi być prowadzona jednocześnie we wszystkich środowiskach i zawodach, na wszystkich poziomach. W świecie lekarskim również i to przez samych lekarzy (...) Siłą logiki od lekarzy można wymagać uczciwości takiej, jaka obowiązuje w całym społeczeństwie*".

Tylko w sprawach zdrowia i stosunku lekarza do chorego jest odmienność i dlatego autor kategorycznie stwierdza: „*Pobieranie przez lekarzy wszelkich dodatkowych opłat godzi w elementarne podstawy naszego ustroju — równość ludzi wobec życia i śmierci, zdrowia i choroby, uzależnia opiekę w chorobie od sytuacji materialnej chorego. Przecież mamy dość i lekarzy, i personelu pomocniczego, i środków leczniczych (...), ażeby każdemu okazać rzeczywistą pomoc wcześnie i wszystkim w miarę możliwości jednakową*".

Powinny być jednak spełnione pewne warunki: społeczeństwo musi zapewnić lekarzowi yt materialny nie gorszy od innych obywateli, trzeba podnieść poziom uczciwości wśród ogółu ludności i zawodowej wśród lekarzy, pisać te tylko o zjawiskach ujemnych, że i o dodatnich. Wreszcie musz zabrać głos sami lekarze: „*Łatwo jest obiektywnie roztrząsać te zagadnienia publicystom, a nawet ekarzom, ludziom starszym, materialnie zabezpieczonym, pędzącym żywot. Młodzi, płodni wszystkiego, pełni kłopotów i potrzeb, które niełatwo zaspokoić, szukając najlepszego wyjścia muszą wciąż walczyć i z trudnościami zewnętrznymi i z samymi sobą*".

Do innych regionów przenosi nas wspomniana na początku W. Skulska w reportażu „*Carakterniak*" poświęconym więzieniu dla młodocianych w Iławie. Tysiąc pięciuset chłopców, którzy byli karani więzieniem po raz pierwszy, tu mają przechodzić reedukację, uczyć się zawodu. Ale przeważnie są tu chłopcy karani pierwszy raz formalnie, w rzeczywistości wielu jest tu recydywistów, którzy kontakty z prawem mają już bogate. „*Recydywiści, to chłopcy często nadmiernie pobudliwi, agresywni. Tacy awanturnicy zdobywali ongiś nowe lądy, budowali fundamenty bogactwa Ameryki. Dziś, w uporządkowanym społeczeństwie drugiej połowy dwudziestego wieku — nie mieszczą się, zawadzają*".

I właśnie tu tkwi problem, bowiem „*Recydywiści — nieetatowi nauczyciele w szkole przestępczości mają w Iławie wdzięczne pole do popisu. Spotykają tu chłopców nieszczęśliwych, zagubionych, którzy popełnili RAZ W ŻYCIU czyn przestępczy z namowy, upicia się, przypadku. W jaki sposób odseparować te dwie grupy w jednym zakładzie karnym?*"

Z reportażem Skulskiej koresponduje artykuł Kazimierza Kąkola „*Jaskiniowcy*" w „PRAWIE I ŻYCIU". Autor zajmuje się niepokojącym nasileniem się zjawisk gwałtu i rozwydrzenia, o których ostatnio prasa donosiła wielokrotnie, próbuje wskazać na przyczyny, podkreślając zależność między stylem bycia środowiska przestępczego, a stylem praktykowanym przez niektórych ludzi tzw. środowiska. *Rozpasanie — stanowiące w niektórych kręgach modę, styl — nowy sposób bycia, znamię nowoczesności jest zarażliwe (...) Nie ma w społeczeństwie grup społecznych, izolowanych, żyjących życiem własnym. Obyczaje, wzorce, postawy są zaraźliwe, instynkt naśladownictwa, chęć dorównania przodującym — mogą dawać efekty niesłychanie szybkie i społecznie szkodliwe*".

Te smutne refleksje snuje autor na przykładzie niedawnego procesu I. Iredyńskiego i E. Bernsteina. Negatywne przykłady i modele postępowania są proponowane przez ludzi, od których powinno się wymagać czego innego. Kąkol stwierdza, że „*talent musi podlegać normom społecznej dyscypliny, służyć rzetelnym wartościom — dźwigać, a nie upadlać*".

T. K.

Aleksandrowi Syczewskiemu
wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

BRATA

składa
zespół „Kameny"

JANUSZ DANIELAK

Renesans po raz drugi

Rynek w K. jest jak więzienna cela. Jej ściany osaczają nie tylko ciała, ale i wyobraźnię. Nie można wydobyć się poza realny kształt rzeczy. Nawet w tym słowie „realny" jest jakaś przesada. Jest czegoś mniej. Brakuje trzeciego wymiaru, brakuje barw. Drzewa są wycięte z szarego papieru.

A przede wszystkim — brakuje nadziei...

Tak zaczynał się mój pierwszy w życiu reportaż, „popełniony" dziesięć lat temu.

To była moda. Moda na „czarne reportaże". Na szarzyznę właściwie. Dziennikarze z wielkich metropolii tłumnie zjeżdżali do małych miasteczek, gdzie — z dala od wielkich wirów i wzburzonych oceanów — odkrywali te stojące wody, w których kisły marzenia.

To była moda, ale — nie tylko moda. W końcu było w tym niemało prawdy, za dużo prawdy, jak na mój gust... Małe miasteczka i osady — można by ich w województwie lubelskim naliczyć kilkadziesiąt — odepchnięte od handlowych szlaków, od dawna przez historię wyrzucone na mieliznę, zdegradowane przez nią — wegetowały, pogrążone w drzemce. Młode dziewczyny czekały w oknie na królewicza w prywatnym samochodzie, chłopcy uciekali do wielkich miast, starsi — czekali na cud. Niekiedy cud się zdarzał. Komuś na przykład pokazywała się płacząca Matka Boska — i wtedy do miasteczka zjeżdżał tłum, depcząc suchotnicze trawniki okalające sklepy. Potem znów zapadała cisza, jeszcze bardziej ponura, jakaś — zdeptana.

Niekiedy zdarzał się cud innego rodzaju. Prawdziwy. Na miasteczko jak grom spadała decyzja o Wielkiej Inwestycji. Wtedy pierzchały sny, wszystko zaczynało się gotować i wrzeć, miasteczko zapominało o swojej przeszłości, przestawało być sobą. Zaczynały się inne kłopoty...

Ale dla większości — sen trwał. Sen o przeszłości. Jałowe rozpamiętywanie dawnej — i często wątpliwej — świetności. Tam pod lipą spał kiedyś Mikołaj Rej. Tu Jagiełło kazał sobie szyć buty. Owdzie Kościuszko siedział na kamieniu. Gdzie indziej arcyksiążę polował na niedźwiedzie...

Dzisiaj także, w takim na przykład Tarnogrodzie, na honorowym miejscu w Prezydium Gromadzkiej Rady Narodowej widnieje akt nadania Tarnogrodowi praw miejskich — przez Zygmunta Augusta, w roku 1567. Z okazji 400-lecia zamierzają wydać... oczywiście monografię miasta.

— Po licha właściwie wam ta historia? — pytam przewodniczącego.

— Sądzę — powiada (a jak się przekonałem, jest to głowa wręcz ministerialna) — że jaśniej myśli się o przyszłości, kiedy zna się przeszłość. I że jeśli ma się lubić swoje miasto, to trzeba je znać. A to lubienie bardzo nam pomaga w robocie...

A więc — już nie „historia dla historii..."

I że nie są to tylko ładne a czcze słowa — przekonamy się zaraz, uważniej po Tarnogrodzie się rozglądając.

Zresztą — to nie tylko sprawa Tarnogrodu. Zaklików, Łęczna, Kock, Szczebrzeszyn, Michów, Rejowiec Stary, Józefów jeden i drugi, Janów Podlaski, Skierbieszów, Zwierzyniec — listę można by przedłużać...

Co to się właściwie stało — i kiedy?

Jedni mówią — właśnie rok 1956. Inni — rok 1961: data słynnej annopolskiej narady.

Dla mnie obie te daty są prawdziwe. Rok 56 stworzył „atmosferę". Annopolska narada wyznaczyła jasny kierunek działania.

Dla sceptyka rzecz to zdumiewająca i niewiarygodna, by narada, „apel" — mogły stworzyć jakiś przełom. Ale w ślad za nim poszła przecież wytężona działalność organizacyjna. Mieszkańcy małych miasteczek — „zapomnianych przez Boga i Partię", jak tu powiadano — spostrzegli, że nie są sami. Bóg nie chciał się objawić — jeśli już, to w sposób wątpliwy i mało skuteczny. Natomiast coraz częściej zaczęły się pojawiać... służbowe „Warszawy" — „z powiatu" i „z województwa"...

Ówczesny przewodniczący krasnickiej Powiatowej Rady potrafił „najeżdżać" Zaklików i o szóstej rano, żeby zobaczyć jak robota idzie. Ludzie myśleli później: „Skoro on nie śpi..."

Takimi drogami odbywało się przebudzenie.

Ni stąd ni zowąd okazało się, że w tych małych miasteczkach, o których zbyt często w metropolii mówi się krótko i dosadnie „zapadła dziura" — tkwią olbrzymie rezerwy energii i pomysłowości. Objawili się ludzie, którzy, dalibóg, bardziej w historii tych miasteczek zasłużyli na upamiętnienie, niż austriacki książę, polujący na niedźwiedzie...

„Rynek w K. jest jak więzienna cela. Jej ściany osaczają nie tylko ciała, ale i wyobraźnię..."

Te szare i błotniste rynki w ciągu kilku lat zamieniły się w cieniste skwery z wygodnymi ławkami, w barwne płaszczyzny kwiatów i zieleni.

Rynek — to jakby wizytówka miasta. Niektórzy „mieli za złe", że właśnie od wywieszania efektownej wizytówki rozpoczęto te Wielkie Porządki. Bo cóż, powiadali, że wizytówka kunsztownie grawerowana, skoro w mieszkaniu brud i nieład.

To na pewno jakaś prawda teoretyczna, ale nie uwzględniająca społecznej psychologii. Bo przecież trzeba było od czegoś zacząć. Od czegoś, co przywróciłoby wiarę we własne siły, co naocznie mogłoby przekonać, że jednak — można coś zrobić. Tak rozumowali działacze z Zaklikowa i Kocka, ze Skierbieszowa i Szczebrzeszyna. I — okazało się — mieli rację. Powoli, ale systematycznie ten piękny, czysty i ukwiecony świat z rynku zaczął się rozlewać bocznymi ulicami, docierać na zapuszczone przedmieścia a nawet na podwórka. To tutaj, na ławkach zielonych skwerów powstałych z brudnych targowisk, zaczęła się nakilka ostatnich lat nie wypuszczał się na tereny lubelskiej „Polski Powiatowej" — nie pozna już teraz tych miasteczek. W takim Tarnogrodzie lista społecznych budowli byłaby tak długa, że z braku miejsca — pewnie tu byłaby skreślona... W każdym razie fakt, że w pięknej sali Domu Kultury obejrzałem sobie przedstawienie lubelskiego teatru, a w pięknym budynku Technikum Ekonomicznego... Może jednak lepiej anegdota?

„Będziecie mieli w tym budynku Technikum — powiedzieli w Lublinie tarnogrodzkim władzom — jeśli sami skompletujecie sobie kadrę". No więc przewodniczący GRN wsiadł w „taksówkę" i ruszył „w Polskę" na poszukiwanie owej kadry — do Krakowa, Katowic a nawet i dalej. „Ale — powiada chytrze — przedtem w odremontowanym budynku przygotowaliśmy kilka mieszkań"... No i kilku magistrów ekonomii dało się na te mieszkania nabrać. I teraz — chwalą to sobie.

„W dużym mieście — zwierza się dyrektor Technikum, były mieszkaniec Gdańska — człowiek czuł się zagubiony. Nie widać było efektów pracy. To wszystko ginęło gdzieś w tłumie. Tutaj..."

Tutaj, w tym „miasteczku na dłoni" — widać od razu wszystko. Dobre i złe.

Tak. Podróż po Polsce Powiatowej jest teraz podróżą optymistyczną. Miasteczka odzyskały swoją utraconą młodość, zmieniły twarz. Ale — czy to nie jest jednak tylko sprawa szminki i farby? Czy to nie jest — sztuczne? Czy te miasteczka mają także jakąś szansę ekonomiczną (urzędowo nazywa się to „drugi etap aktywizacji")?

Trwa o to spór. Jedni mówią — nie. Jest jakaś naturalna tendencja do skupiania się ludzie w dużych miastach i te małe muszą obumierać. Inni mówią — wątpliwa to „naturalność". Jeśli nawet tak jest — to trzeba ją zwalczać. I pada słowo wielkie: deglomeracja. A także drugie, brzydkie, lecz znaczące: usługi.

Nie będę się angażował w ekonomiczne wywody. Dla mnie jest pewne, że te miasteczka na Lubelszczyźnie szansę rozwoju mają. Jesteśmy jednym z najsłabiej zurbanizowanych województw. Spójrzmy na mapę: po prostu bardzo mało mamy miast. Istnieją całe rozległe urbanistyczne pustynie. A lubelska wieś tych miast potrzebuje i łaknie ich. Żeby z byle czym i po byle głupstwo nie musieć jechać zaraz „do powiatu". I to, a nie cud Wielkiej Inwestycji — stwarza szansę. Zapewne, nie wszystkie z tych osiemdziesięciu lubelskich osad i miasteczek potrafią tę szansę wykorzystać. Niektóre — odpadną w konkurencji. Kto o tym zadecyduje? Sądzę, że właśnie sami mieszkańcy tych miasteczek. I władze. Ich energia, inicjatywa, pomysłowość. Trzeba wykorzystywać każdą możliwość.

Wiecie na przykład, jak narodziła się owa tarnogrodzka spółdzielnia, która teraz zatrudnia 120 kobiet i swoje wyroby ze słomy i wikliny eksportuje do Szwecji i Ameryki? Pan Karol Kasperek, kierownik spółdzielni, nauczył się tej roboty jeszcze przed wojną, od pewnego chiromanty, który czasowo u niego zamieszkiwał a w wolnych od wróżenia chwilach parał się słomkarstwem. W porę sobie to pan Karol Kasperek przypomniał, no i teraz sto dwadzieścia kobiet po chałupach piękne koguciki dla Szwedów robi.

Powiadają — potrzebny, konieczny jest wielki przemysł. Tylko przemysł.

No więc dlaczego tak nienadzwyczajnie, łagodnie mówiąc, jest żyć w Trawnikach — choć mają tę swoją „Trawenę", w Rejowcu Fabrycznym — choć mają tę swoją wielką cementownię? A inaczej jednak żyje się w Tarnogrodzie czy Zaklikowie — choć ten czeka dopiero na swoją hutę?

Myślę z uporem, że jednak najwięcej zależy od ludzi.

Chatka Żaka, Gong 2, Azory, czyli...

SŁAWOMIR CERED

Parada paradoksów

MOWA o Chatce Żaka, obiekcie kulturalno-użytkowym znajdującym się na terenie lubelskiego miasteczka akademickiego. Chatka jest nowoczesnym budynkiem, mieszczącym ogromną, najpiękniejszą chyba w Polsce stołówkę studencką, szereg mniejszych i większych sal i pokoi przystosowanych do pracy kulturalno-oświatowej, pojemną szatnię, przestronne hale, które prowadzą do eleganckiej i doskonale wyposażonej sali kinowo-widowiskowej. Sala, oddana niedawno do użytku, jako ostatni element wznoszonego od kilku lat budynku, zafrapowała nie tylko środowisko uniwersyteckie, ale i całe lubelskie środowisko kulturalne. Miastu przybył nowy obiekt kulturalny i to niejako „psim swędem", bo za pieniądze Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego.

Lublin, będący największym ośrodkiem uniwersyteckim po wschodniej stronie Wisły, zdołał dorobić się pięciu wyższych uczelni, do których uczęszcza niemal dziesięć tysięcy młodzieży (tylko na studia stacjonarne). Przyjezdni dziennikarze nazywają entuzjastycznie nasze miasteczko uniwersyteckie „polskim Harvardem", co ma oznaczać, że jest doskonale zorganizowane, „wiopione" w otaczającą je zieleń itp.

Przeczytałem kiedyś interesujący reportaż na temat modelu studenta „Polski Wschodniej", rekrutującego się spośród zacofanych mieszkańców czterech współpracujących województw, innym razem kilka izawych informacji na temat współpracy lubelskich uczelni z sąsiednimi województwami, ale najmniej, jak dotąd, pisze się o problemach pracy kulturalnej w tym młodzieżowym organizmie. Co prawda faktem jest, że ta praca od wielu lat potężnie kuleje, więc i temat niezbyt efektowny.

Już od dłuższego czasu uważnie śledzę studencki ruch kulturalny. Na arenie ogólnopolskiej Lublin zajmuje miejsce dość poślednie. Pomimo że na ubiegłorocznym Ogólnopolskim Festiwalu Studenckim odniosły poważne sukcesy dwa lubelskie zespoły artystyczne. Nawiasem mówiąc, te dwa zespoły to... prawie połowa wszystkich naszych studenckich zespołów. Zresztą, nie liczbą zespołów powinno się mierzyć aktywność pracy kulturalnej.

•

Zbierając materiały do niniejszego artykułu, popadłem w melancholię, przeczytałem bowiem w lokalnej prasie artykuł odważający na ile solą a na ile pieprzem naszego miasta są lubelscy studenci. W przerażeniu zaś wpadłem podczas pewnej dyskusji poświęconej problemom kultury studenckiej. Okazało się bowiem, że właściwie tzw. szara masa studencka jest pozostawiona sama sobie. Po prostu od lat nie ma w Lublinie jakiegoś sprecyzowanego programu działalności kulturalno-oświatowo-wychowawczej w środowisku studenckim.

Tutaj dygresja: lubelskie środowisko studenckie jest bardzo specyficzne. Określa je fakt pochodzenia większości młodzieży z obszarów wciąż jeszcze dość zacofanych, matematyczno-przyrodniczy charakter większości lubelskich uczelni, brak uczelni artystycznych, wreszcie brak w samym Lublinie tzw. tradycji miasta uniwersyteckiego. Dodajmy jeszcze do tego dość nikłe życie kulturalno-artystyczne w samym mieście.

Sumując, należałoby po władzach istniejących uczelni, po władzach studenckich oczekiwać jakiegoś frontalnego ataku w celu zaradzenia istniejącemu stanowi rzeczy i odrobienia wieloletnich zaległości. Tymczasem... niemal wszystkie drogi prowadzą do wspomnianej na wstępie Chatki Żaka.

Większe ośrodki studenckie w Polsce posiadają oprócz zwykłych klubów i świetlic, tak zwane „kluby środowiskowe", w których ogniskuje się studenckie, międzyuczelniane życie kulturalne i artystyczne. Gdański „Żak", wrocławski „Pałacyk", warszawskie „Hybrydy", krakowskie „Jaszczury" to całe kluby-kombinaty zrzeszające i grupujące młodzież studencką danego miasta, to budynki mieszczące sale taneczne i kawiarnie, sale odczytowe, kinowe i teatralne. Tutaj, rozsądnie mieszając działalność wychowawczą i przyprawiając ją odrobiną zdrowego snobizmu, nie jeden raz wypieczono ciasto bez zakalca. Są to zresztą sprawy na ogół znane.

Lublin takiej placówki dotąd nie posiadał. Okazja zlikwidowania swoistego „kompleksu środowiskowego" nadarzyła się w momencie oddania do eksploatacji Chatki Żaka. Przynajmniej liczyła na tę okazję Rada Okręgowa Zrzeszenia Studentów Polskich. **Chciano więc w obszernych pomieszczeniach budynku** stworzyć międzyuczelniany klub, **grupujący studentów wszystkich** lubelskich uczelni. Sęk w tym, że Chatka Żaka jest własnością Uniwersytetu im. Marii Curie-Skłodowskiej (i — w pewnej mierze Wyższej Szkoły Rolniczej).

I oto rozpoczyna się parada paradoksów: uczelnia posiada rozległy gmach o przeznaczeniu kulturalnym i nie dysponuje wśród swoich kadr komórką zajmującą się życiem kulturalno-oświatowym „własnych" studentów. Zrzeszenie Studentów Polskich jest organizacją predystynowaną do zajmowania się taką działalnością, ale nie ma znów lokalu. Ma za to pieniądze na zatrudnienie odpowiedniego fachowego personelu, gdy tymczasem uczelnia nie dysponuje odpowiednią liczbą etatów k-o w Chatce Żaka. ZSP posiada możność uzyskania odpowiednich funduszów na aktywną działalność w ewentualnym klubie, UMCS posiada też, ale o wiele skromniejsze. Zrzeszenie proponuje otwarcie osobnego klubowego konta bankowego, Uniwersytet nie uważa za stosowne zajmować się tą sprawą. Następuje wzajemne ochłodzenie stosunków, uczelnia pozostaje „na swoim", ZSP lekko bojkotuje Chatkę Żaka. (To znaczy nie urządza w niej imprez zetespowskich).

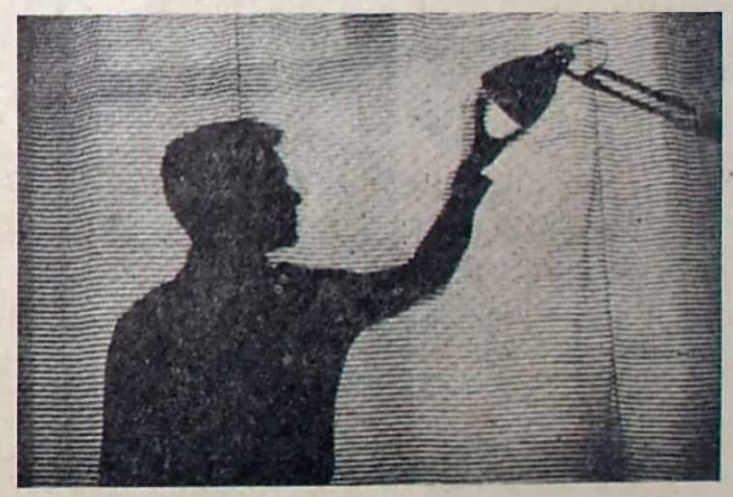

Fot. Andrzej Polakowski

Ciąg dalszy przedstawia się następująco: z chwilą ukończenia sali widowiskowej, wraz z odpowiednim zapleczem, uczelnia powołuje do życia tzw. Teatr Akademicki. Etat i stanowisko kierownika Teatru Akademickiego obejmuje kierownik teatrzyku studenckiego Gong 2 działającego przy UMCS. Tamże znajduje, oczywiście, lecz nie wspomniany uniwersytecki — i jedyny na UMCS — teatrzyk Gong 2 występuje z nową premierą i kierownik stemplując bilety pieczątką z napisem Teatr Akademicki, co jest niezupełnie formalne i utrudnia rozliczenia finansowe sekcji rachunkowej ZSP, ponieważ Gong jest właściwie teatrzykiem zetespowskim i przez ZSP dotowanym a tylko działa przy UMCS i rekrutuje się spośród studentów tej uczelni. Co będzie dalej, nie wiadomo. Dodajmy, że według obserwacji ZSP na 30 pomieszczeń tylko 17 jest w Chatce Żaka w pełni wykorzystywanych.

Tymczasem Rada Okręgowa wchodzi w porozumienie z Miejskim Wydziałem Kultury i próbuje skupić młodzież studencką w Dzielnicowym Domu Kultury znajdującym się w dzielnicy ZOR Zachód i położonym w odległości około jednego kilometra od miasteczka uniwersyteckiego. Nowy klub, pod nazwą Azory, rozpoczął działalność w ostatnich tygodniach.

Cała sytuacja byłaby zupełnie wesoła, gdyby nie to, że jest nader smutna. Wykazuje bowiem jasno, że już na studiach zyskujemy odpowiednie przygotowanie i zachętę do walk, jakie zwykle toczą między sobą całkiem „dorosłe" i bardzo nieraz rozsądne instytucje.

PARTY-ZANTKA

(Dokończenie ze str. 1)

na tęsknoty i wzburzenia, a za drzwiami lepianki rozpościerał się las, którego on, porucznik, jest chwilowym panem i owe władztwo nad lasem powinno wykluczyć wszelkie rozczulenia.

Poczuł się jakby pokonany przez opanowanie dziewczyny, która odeszła w śnieżycę.

Ale przypominając sobie jej uśmiech, myślał zarazem, że ta jej przykładna żołnierskość jest czymś prawie fałszywym, taka młoda, śliczna dziewczyna jest stworzona do szczęścia.

Zaraz jednak zorientował się, że to jego myśli biegły fałszywym torem, bo przecież ów fakt, że dziewczęta były stworzone do szczęścia przekreśliła wojna, tworząc z nich nieszczęsne istoty, zmuszone gnać w śnieżycę przez las, kluczyć wśród niemieckich patroli, drżeć przed łapanką, rewizją i obławą.

Długo myślał o Brzozie i czekał jej przyjścia. Nie zjawiała się przez parę tygodni i jęły go dręczyć najróżniejsze obawy, że mogła wpaść w ręce Niemców, co było też połączone z niebezpieczeństwem dla całego oddziału, bo któż mógł wiedzieć, czy taka dziewczyna, poddana badaniom i torturom, nie załamie się i nie wyda trasy swych wędrówek, prowadzącej wprost do lepianki i kilku innych zmyślnie sfabrykowanych leśnych schronów.

Ale Brzoza zjawiła się któregoś dnia, gdy śniegi zaczęły tajać i przyniosła rozkaz zmiany miejsca postoju. Nie miała już na głowie fokowej czapeczki, ubrana była jak wiejska kobieta i nie zaraz ją poznał. Dopiero gdy zdjęła chustkę i jej czarne włosy rozsypały się po ramionach, podbiegł do niej:

— Jesteś, nic ci się nie stało — powiedział ucieszony.

Zdawała się nie być zdziwiona tym, że mówił jej „ty", ale uśmiechnęła się jakby karcąco i rzekła:

— Przyniosłam nowe rozkazy.

W ten sposób oddaliła go od siebie, zmuszając do załatwienia pilnych spraw. Czytał owe rozkazy, studiował wytyczoną trasę, a skończywszy zapytał z pewnym niepokojem, czy Brzoza przestanie przychodzić do oddziału.

— Nie wiem — odrzekła — moją rzeczą jest tylko słuchać poleceń. Że też porucznik tak prostych rzeczy nie rozumie — uśmiechnęła się.

Nagle, jakby zrozumiała, że odezwała się niewłaściwie i sprawiła mu przykrość, podeszła bliżej i chciała coś powiedzieć, lecz nie zdążyła, bo ogarnął ją ramionami.

— Brzoza — szepnął. — Brzoza — powtórzył, jakby nic innego powiedzieć nie umiał.

Oparła głowę o jego szorstką kurtkę i poddała się owemu rozczuleniu, na które nie wolno było sobie pozwalać, na które nie było czasu, które zdawało się wymazane z życia.

— Co za młodość mamy, Brzoza — powiedział z żalem, a przecież także jakby z dumą, a ona podchwyciła:

— Młodość mamy piękną, niech nam zazdroszczą takiej młodości!

Kto miał zazdrościć, nie wiedzieli oboje, a przecież wyczuwali niepowtarzalny urok owego tragicznego czasu, który nie był młodością, a stawał się czymś prawie nierealnym, będąc jednocześnie sprawą mocną na równi z walką, ideą i śmiercią.

— Muszę już iść — szepnęła Brzoza.

— Wiem, że musisz — odszepnął i nagle w owym musie, w owej ciężkiej konieczności dojrzał chyba równocześnie z dziewczyną wzniosły i piękny ból.

To ów wzniosły ból ich połączył, całowali nie tylko swe usta i twarze, lecz właśnie ową młodość, ciężką a piękną, ów mus, owe cierpienie, mocne jak walka i jak śmierć.

Kiedy Brzoza odeszła, Grzegorz ukrył twarz w dłoniach, oparł się o stół i nie wiedząc o tym, płakał.

Zdumiony łzami na własnych rękach ocknął się i niemal przeraził, bo gdyby w tej chwili ujrzał go któryś z żołnierzy, nie uwierzyłby, że ma przed sobą dowódcę, który potrafi wyprowadzić z każdej opresji i uchodził za nieustraszonego.

Był zdumiony łzami, lecz bynajmniej nie wstydził się owego bolesnego wzruszenia, które oczyściło mu serce.

„Brzoza — myślał — partyzantka. Ona miała rację, dziewczyny wszystkich czasów powinny jej zazdrościć, bo któraż z nich była lub będzie taką partyzantką, odważną i pełną słodyczy".

Przypomniał sobie, że nie znał jej prawdziwego imienia, nic o niej nie wiedział, miało to w sobie jednoczesny urok i gorycz.

„Ona też nic o mnie nie wie i tak możemy już nigdy więcej się nie spotkać" — ogarnął go lęk.

I tak było. Tak, miało się stać, Brzoza nie przyszła nigdy więcej do oddziału. Na nowe miejsce postoju skierowano inną łączniczkę, która nic o swej poprzedniczce nie wiedziała, nie znała też jej zapewne w myśl zasad konspiracji. Grzegorz nie przestawał o niej myśleć i na nią czekać, choć jednocześnie wyczuwał daremność tego czekania.

Kiedy skończyła się wojna, zdawało mu się, że w wirze nowego życia zapomniał o Brzozie i nawet o swej walce, wszelka śmierć zostawała przekreślona, tworzyły się nowe zręby i nowe formy walki, utożsamiającej się z intensywną pracą. Powrócił na wieś do starego folwarczku, choć przecież nigdy właściwie o pracy na roli nie myślał, na ojcowiźnie miał zostać Wilhelm, lecz został zamęczony w Sobiborze a Jerzy powędrował w obcy świat, zdziwaczał widocznie w jenieckim życiu, pięć lat bezczynności i beznadziei musiało wypaczyć owego miłego chłopaka, który nawet na listy teraz nie odpowiadał. Tak więc Grzegorz uprawiał ziemię niejako z obowiązku, nie mając do tego specjalnego przygotowania, ani nawet chęci. Wojna przerwała mu studia, wolałby teraz zapisać się na odradzający się uniwersytet w Lublinie, lecz musiał tkwić na folwarku, gdyż inaczej przekazano by ziemię w inne ręce, a do tego nie chciał dopuścić.

Był dosłownie sam. Czasem zaglądała do niego bratowa Salomea, ale jakby nie mogła znieść tej pustki, po paru dniach uciekała, aż wreszcie wogóle przestała przyjeżdżać. Grzegorz zorientował się wkrótce, że sam nie da sobie rady z gospodarstwem i zaczął rozglądać się za jakimś pomocnikiem. Szczęśliwym trafem spotkał w Zamościu kolegę z partyzantki, któremu całą rodzinę wymordowali Niemcy, i zaczęli gospodarować razem. Ale kolega, wciąż zrozpaczony, wciąż nie mogący zapomnieć strasznych wojennych krzywd, często upijał się, sprowadzał przy tym jakieś kobiety, tak że w rezultacie gospodarstwo znów zaczynało kuleć.

Wśród przypadkowych kobiet, sprowadzanych przez zrozpaczonego kolegę, była jedna, która zorientowała się w lot, że mogłaby się tu urządzić na stałe, gdyby zakrzątnęła się pilnie koło gospodarza. Zaczęła pomagać Grzegorzowi w pracy, a że pochodziła ze wsi, znała się na tym i służyła nie jedną radą. Nietrudno było też zauważyć, że Grzegorz owe rady przyjmował z uśmiechem i że miła mu jest obecność tej kobiety.

Któregoś wieczoru zebrało się większe towarzystwo, kobieta zaczęła grać wyraźną rolę gospodyni, butelki krążyły coraz śpieszniej, mieszano trunki, Grzegorz przyglądał się wszystkim w milczeniu, jakby nie był gospodarzem lecz gościem.

W pewnej chwili ktoś otworzył drzwi od ganku, wpadło rzeźwe, mroźne powietrze i wiatr — i Grzegorzowi nagle wydało się, że cofnął się czas i że z tym mroźnym wiatrem powinna zaraz tu wejść Brzoza, jak wtedy, tam, w lesie, w lepiance, wyłożonej mchem. Myśl o dziewczynie była tak silna i wyraźna, że niemal przeraził się.

„A więc nie zapomniałem, pamiętam, kilka już lat tak pamiętam, ona została we mnie razem z tamtym czasem. To nie możliwe, by umarła, ona gdzieś chodzi po świecie" — myślał, wychylając nowy kieliszek.

Był bowiem taki czas, gdy Grzegorz sądził, że Brzoza umarła, zginęła w powstaniu, bo przecież przyjeżdżała z Warszawy, więc tam musiała być, gdy rozpętała się ta okrutna burza.

Zetknął się kiedyś w Lublinie z chłopakiem, który walczył na Starówce, i zaraz też zapytał choć takie pytania były niedorzeczne: „Nie spotkał pan tam przypadkiem dziewczyny o pseudonimie Brzoza?" „Spotkałem — ożywił się tamten. — Była nawet w moim plutonie".

Słowa te jakby odebrały Grzegorzowi mowę. Słyszał stuk własnego serca, wyraźny, a zarazem głuchy. Z trudem spytał jeszcze: „Taka wysoka, ciemna, z czarnymi włosami?" „Nie — odrzekł chłopak — nie, nasza Brzoza była niska i miała jasne warkocze".

„A więc mogły być dwie Brzozy? — myślał bezładnie Grzegorz. — Jakże to mogło się stać, przecież Brzoza była jedna".

„O naszej Brzozie mówili — podjął chłopak — że została w kanale, jak przekradaliśmy się do Śródmieścia".

„Jak to w kanale?" — zapytał Grzegorz.

„Zwyczajnie — chłopak obrzucił go wzgardliwym spojrzeniem — utopiła się w gównach, mój panie" wypalił i odszedł nagle od Grzegorza, jakby dopiero teraz zorientował się, że nie powinien tracić czasu na rozmowy z kimś, kto nie miał pojęcia o walce powstańców.

Brutalna rzeczywistość tych słów uderzyła Grzegorza, jak kamień i długo je pamiętał. Lecz nie chciał zestawiać ich z Brzozą. Brzoza w jego myślach została wysoka i śliczna, owiana mroźnym powietrzem śniegu i lasu, odważna i czysta.

I właśnie teraz, gdy z ganku wpadło to mroźne powietrze, uczuł silniej niż kiedykolwiek obecność Brzozy, to znaczy jej obecność w sobie, bo przecież nie nadeszła, nie zjawiła się, nigdy nie miała już przyjść.

Wychylił nowy kieliszek. Wódka miała rzeźwy, cierpki smak, było w nim coś, co również przypomniało Grzegorzowi dawny czas, mąciło mu się w głowie, chwycił butelkę ze stołu i zaśpiewał:

„My młodzi, my młodzi,
nam bimber nie zaszkodzi,
więc pijmy go szklankami,
kto z nami, kto z nami..."

Kilka głosów podchwyciło, śpiewali drugą zwrotkę tej piosenki, urodzonej z wojennych żalów i wesołego humoru:

„Wy starzy, wy starzy,
wam bimber nie do twarzy,
nie pijcie go szklankami,
nie z nami, nie z nami..."

„Wy starzy — pomyślał Grzegorz. — Niedługo będę stary, cała moja młodość, tamta, piękna, o której Brzoza mówiła, że godna jest zazdrości, stanie się wspomnieniem i prochem".

Napił się znów. Pokój zaczął wolno, jakby cichutko wirować w kłębach dymu.

Kobieta, która grała rolę pani domu, podeszła do Grzegorza i objęła go.

— Nie pij! — szepnęła.

Zbuntował się. Odtrącił jej rękę i krzyknął:

— Nikt nie ma żadnego prawa mi rozkazywać!

— Nie krzycz! — powiedziała kobieta.

Spojrzał na nią i jakby spoza jej twarzy zobaczył inną twarz. Przypomniał mu się śmiech Brzozy, jej piękne, białe zęby, „Bimber mi szkodzi" — uśmiechnęła się zza kłębów dymu.

Kobieta, stojąca przy nim, nie miała pięknych zębów, a włosy jej były bezbarwne, oczy szare, twarz także bezbarwna i szara. Ale oparła się o niego pełną, ciepłą piersią, objęła go opiekuńczym gestem i pogładziła po włosach.

Wtedy zrozumiał nagle, że Brzozy nie będzie, że on stanie się stary, że ziemia ojca zostanie pusta lub rozdadzą ją młodym, lecz obcym, bo braci nie ma, jeden zginął, drugi pojechał w świat.

Z rozpaczą, płynącą z tych wszystkich prawd, wyszeptał nagle do kobiety:

— Zostaniesz ze mną, tak?

Przygarnęła się jeszcze silniej i nie licząc się zupełnie z całym towarzystwem, zaczęła go całować.

Gdy się obudził rano, leżała przy nim. Z przerażającą trzeźwością patrzył na jej nagie ciało, którego się bał. Nie dlatego, żeby było brzydkie, nie. To była młoda, kształtna kobieta, nawet ponętna. Ale wiedział, że to jej ciało będzie dla niego źródłem męki, płynącej z myśli o ciele Brzozy i tego się bał.

Kobieta została jego żoną i urodziła mu syna. W pięć lat po ślubie umarła na raka, co odczuł jak wyzwolenie, chociaż był do niej w pewien sposób przywiązany i w ostatnich miesiącach przed śmiercią cierpiał wraz z nią.

Syn miał teraz piętnaście lat, był ładnym i dobrym chłopcem, a przynajmniej dobrym starał się ojcu wydawać, gdy przyjeżdżał na wakacje. Grzegorz patrzył na niego z upodobaniem, bo chłopak ten to był właściwie jego spokój, dzięki niemu przestał się martwić o ziemię, miał ją komu przekazać, wspominał też z niejaką czułością żonę, która mu tego syna dała. Lecz nie mógł opędzić się myśli, że gdyby owe dziecko było synem Brzozy, kochałby je stokroć silniej i pełniej i owa myśl często zatruwała mu życie, raniąc go i męcząc tym bardziej, że nie było na nią ratunku.

Józefa Radzymińska

(Fragment powieści „Czas nie umiera").

SAGA RODU PIENIACZY

(Dokończenie ze str. 1)

monia z żółtej malowanki. I tylko pomiędzy nimi płynie gdzieś we mgle nowy kanał Wieprz—Krzna.

Dobrze im tak

Przy drodze prowadzącej do Zakanala, na początku wsi, wznosi się duży drewniany budynek, raczej barak, niegdyś malowany na żółto, dziś odrapany z farby, spróchniały i brudny. To szkoła podstawowa w Walinnej. Tutaj właśnie mieszkańcy wsi podpisali przed trzema laty wyrok na elektryfikację. Co rozsądniejsi gospodarze wspominają dziś o tym z zażenowaniem. Inni w ogóle nie mówią. To było już dawno. Bo też inna sprawa spędza dziś sen z oczu mieszkańcom Walinnej. Właśnie ta szkoła... Patrzę na długi, podrapany, stary barak. Oto nowy powód wojny czterech „bratnich dzielnic".

Zaczęło się od tego, że na jednym z gromadzkich zebrań kierownik miejscowej szkoły zaproponował budowę nowego budynku szkolnego. Gospodarze opodatkowali się po 100 zł od komina, zobowiązali się pomóc przy robotach niefachowych, obiecali żwir i kamienie pod fundamenty. Stanowiło to 30 proc. kosztów zamierzonej inwestycji. Resztę miało pokryć państwo. Teren pod budowę nowej szkoły upatrzono na gromadzkim placu w Zakanalu. I tutaj właśnie nastąpiło spięcie. Bo oto Stara Wieś chciała przy okazji upiec pieczeń dla siebie. Skoczyli sobie do gardeł.

— Tyle lat była w Zakanalu szkoła — krzyczeli gospodarze ze Starej Wsi — to niech pobędzie teraz u nas.

A ci z Zakanala:

— Jak ma być w Starej Wsi, to niech nie będzie w ogóle.

Kłócili się cały wieczór i na kłótni zostało. Odchodzili ze złością, ochrypli. Nazajutrz delegacje pojechały do powiatu. Ze Starej Wsi sobie, a z Zakanala sobie. Powiedziano im w powiecie: „Nie zawracajcie głowy!" Więc zeszli się po raz drugi na wspólne zebranie, żeby się dogadać. Zwoływali się po raz trzeci, czwarty, dziesiąty... Kłócili się całą zimę. Kłócili się całe lato. A budowa leżała.

Rychło też w sukurs ojcom, mężom i braciom pospieszyło Koło Gospodyń Wiejskich. Oto na jednym z zebrań koła, w czasie pogawędki o sztuce gotowania, tudzież cerowania i szycia, nieopatrznie któraś z kobiet napomknęła coś o szkole, że najlepiej będzie, gdy się ją zlokalizuje w Zakanalu. Temat chwycił. Poparły ją natychmiast inne kobiety z Zakanala z przewodniczącą na czele. Białogłowy ze Starej Wsi, jako że słów w gardzielach zabrakło, pozrywały się z miejsc. Na znak protestu wypowiedziały swe członkostwo. Rzuciły legitymacje KGW przewodniczącej pod nos i z hałasem opuściły lokal.

Druga zima była za pasem. We wsi wciąż wrzało. Kiedy tak się już nakłócili do woli, a i w powiecie, dokąd jeździli jeszcze parokrotnie, nic nie wskórali, postanowili coś robić. U schyłku jesieni zeszli się znowu w starym budynku szkolnym, żeby radzić. Uradzili, żeby nową szkołę zlokalizować akurat w środku, pomiędzy Zakanalem a Starą Wsią. Środek przebiegał przez rozległy plac położony obok kanału Wieprz-Krzna, po stronie Zakanala. Przyjechali pomiarowcy z powiatu uzbrojeni w teodolit i taśmę mierniczą. Wymierzyli teren, opakowali, okopali... Wydawało się, że budowa ruszy już teraz z kopyta. Skąd tam! Przyszli gospodarze z Zakanala i ze Starej Wsi na oględziny, pokręcili nosami, pomruczeli, popatrzyli na siebie z niechęcią.

— Tutaj budować nie będziewa — zawołali gospodarze ze Starej Wsi. — Szkołę musiem przesunąć o dwieście metrów bliżej nas. Na drugą stronę kanału. Tu jest główna droga, a szkoła musi stać przy tym trakcie. Inaczej nie damy ani złotówki.

Krzyczeli gospodarze z Zakanala:

— Durnoty nie robić! Szkoła musi stoić po naszej stronie kanału, tak jak wymierzyli z powiatu. Nasza wioska jest większa.

Stara Wieś nacierała:

— Ci, co mierzyli, to źle wymierzyli. Tylko w Zakanalu jest parę takich asów, co wszystkich przekrzyczą. I mierniczych przekrzyczeli.

Pojechała delegacja ze Starej Wsi do powiatu, żeby przeforsować sprawę. Ale w powiecie znów powiedzieli: „Pogódźcie się sami, a nam nie zawracajcie głowy". Więc kłócili się znowu całą zimę. Kłócili się całe lato. A budowa leżała.

Wreszcie jesienią 1965 r. doszli częściowo do porozumienia. Szkoła miała stanąć po stronie Zakanala, tylko bliżej kanału. Przesunięto ją o sto metrów bliżej Starej Wsi. Mieszkańcy z Zakanala żywo przystąpili do czynu. Poczęli zwozić żwir, kamienie, ogrodzili teren. Przyszli gospodarze ze Starej Wsi, przyglądali się, śmieli się i drwili. Do czynu nie przyłączyli się.

Skończył się więc czyn społeczny mieszkańców Zakanala. Upadła budowa. Nie można było dłużej zwlekać. Powiat znów skreślił z planu budowę szkoły w Walinnej. Z przeznaczonych pierwotnie na budowę nowej szkoły pieniędzy wydzielono tylko 50 tys. na remont starego budynku.

Przewodniczący Gromadzkiej Rady Narodowej w Wiskach mówi:

— Gdyby nie kłótnie, mieliby szkołę. Życie uczy ich i nie może nauczyć. To tak jak z elektryfikacją.

Mieszkańcy zaś okolicznych gromad śmieją się:

— Dobrze im tak. Za dużo tam jest mądrali. A głupio im wychodzi.

Jan Kołkowicz

EMIL GRANAT

Wnętrza

Zapalamy złote przezoły gwiazd
wyłapane w przedsionku nocy
i zapuszczamy ciepłe story
na prostokąty okien
zatrzaśnięte nad oddechami
śpiących mebli.

Odgrodzeni od ulic
rozmyślamy, zdumieni własnym
przemijaniem
i zatrwożeni
o zgiełk płonących sekund
galopujących po wypukłych
i płaskich
tarczach
rytmicznie jak puls.

Ruchoma i wymierna
kurczy się przestrzeń pokoju
kurczy się wnętrze i pamięć
mózgu.

I tylko blask
żarówki obłej —
rozczula,
kołysząc nasz własny cień
na kruchym tynku
na śliskich pręgach
parkietu.

Rzeszów

OLGIERD ŁOTOCZKO

chartre

muzyko czarnych posągów chartre
jesteś winem
ciężkim burgundzkim winem
masz kwaśny dostały smak
surowych owoców biczowanych
[w tłoczni
masz mściwe pożółkłe oczy
człowieka wychłostanego
[przed śmiercią
w południe
gdy myśli stają się obce
jak ręce przebite gwoździami

muzyko czarnych posągów chartre
muzyko nieba wieczorem

Radom

Dwóch w jednym łóżku

DANUTA MAJEWSKA

Szpital powiatowy we Włoszczowej (zdjęcie autorki)

PANI do szpitala? Kiwam głową potakująco. — *Trzeba skręcić w prawo, potem prosto, jeszcze raz w prawo i zaraz będzie szpital...*

A pani może do doktora Piotrowskiego, do dyrektora? Nie?

Staję przed domem, który swym wyglądem przypomina prywatną mocno zaniedbaną willę. Szary, jednopiętrowy dom w ogrodzie. Nad drzwiami wisi tabliczka: „Przychodnia chirurgiczna".

— *Czy tu mieści się Szpital Powiatowy?* — pytam z niedowierzaniem jakiegoś przechodnia.

— *Szpital?* — powtarza — *ano tu...*

Przed drzwiami odgrodzonymi od sieni żelazną zasuwą, czeka na schodkach już około dwudziestu osób. Zakutane w chustki kobiety, mężczyźni w kożuchach, wysokich butach po kolana. Dziś w Szpitalu Powiatowym we Włoszczowej dzień odwiedzin; przyjeżdżają do chorych krewni z całego powiatu.

Ten powiat liczy 13 tys. ludności. Dochodzi 6,5 tys. mieszkańców samego miasta — Włoszczowej. Szpital, służący 20 tysiącom ludności — ma... — 60 miejsc i trzy oddziały.

Ogólnokrajowy wskaźnik liczby łóżek szpitalnych przypadających na 1000 mieszkańców waha się w Polsce w granicach 5,7. Ale aż w 9 województwach ten wskaźnik jest niższy od przeciętnego. To województwa: warszawskie, krakowskie, łódzkie, bydgoskie, rzeszowskie, białostockie i kieleckie. Z tej „dziewiątki" najgorsze jest kieleckie: wskaźnik 2,3 miejsca w szpitalach na 1000 mieszkańców. Powiat Włoszczowa — dotąd przynajmniej — nie stanął w rzędzie chlubnych wyjątków w tym województwie.

Otwiera się zasuwa. Do izby przyjęć, wspólnej dla szpitala i sublokatora — przychodni chirurgicznej — trzeba przejść obok sali operacyjnej — nie ma innej drogi. Więc pod jej drzwiami, operacja nie operacja, przesuwa się dziennie 50—60 osób. Na sali, w której wykonuje się 500 zabiegów rocznie, kopci kaflowy piec. Ten piec jest w ogóle wbrew wszelkim przepisom o bhp (chlor!).

Tupocą na schodach ciężkie buciory gości, zostawiając na deskach grudy błota i śniegu. Schody są bardzo sfatygowane, wydeptane, skrzypiące i tak wąskie, że nie mieści się na nich chory z pielęgniarką. Lekarzom ze szpitala nawet nie śni się winda, czy wózki do przewożenia chorych. Tylko marzą o nieco szerszych korytarzach, by można było umieścić kilka dostawek, a nie kłaść chorych — jak to się obecnie dzieje, gdy zmusza nagła potrzeba — po dwóch na jednym łóżku.

Ale korytarze są wąskie. Więc przyjmuje się tylko najciężej chorych i tzw. nagłe wypadki; innych odsyłając do szpitala w Jędrzejowie, Końskich lub do Szpitala Wojewódzkiego w Kielcach. Bagatela — odległość od 65 do 140 km. A i tam też przeważnie brak miejsca.

Pobieranie krwi, sondy żołądka itp. — odbywa się w... kancelarii. Rzecz jasna — w trakcie urzędowania. Samo laboratorium analityczne gnieździ się w niewielkim pokoiku nad oddziałem położniczym (też niedopuszczalne!), pracuje na potrzeby szpitala i lecznictwa otwartego, a bardziej skomplikowanej aparatury nie można zainstalować, bo nie ma miejsca.

W ubiegłym roku Szpital Powiatowy we Włoszczowej leczył 2 339 osób...

•

Nie bez racji szpitale powiatowe obdarzono niezbyt zaszczytnym mianem „ubogich krewnych" klinik i szpitali wielkomiejskich.

Nie bez racji mówi się o swojego rodzaju „nożycach", rozwierających się między poziomem jednych i drugich!

Prawie 100 powiatów naszego kraju nie ma jeszcze szpitali, a ludność korzysta z usług sąsiednich, najczęściej bardzo przeciążonych, placówek. W czterech województwach — krakowskim, warszawskim, łódzkim i kieleckim — braki są tak duże, że budowa nowych szpitali ledwie pokrywa potrzeby, wynikające z przyrostu naturalnego.

Kielecczyzna, zacofana przed wojną, pozbawiona lekarzy i szpitali, skazana w dużej mierze na „babki", znachorów i felczerów — odrabia swoje opóźnienia. Przykładem — choćby powiat Włoszczowa. W latach międzywojennych i bezpośrednio powojennych Włoszczowa miała tylko jednego felczera. Dziś — mimo wszystko — ma szpital. Podobnie i w innych powiatach.

Jednakże województwo kieleckie nadrabia swe opóźnienia stanowczo za wolno w stosunku do potrzeb...

•

Dr Bubnow, kierownik Wojewódzkiego Wydziału Zdrowia i Opieki Społecznej w Kielcach, nie jest pełen optymizmu.

— *Kielecczyzna ma wprawdzie 19 szpitali; około 4,7 tys. łóżek. Ile z nich jest placówkami z prawdziwego zdarzenia? Nowoczesnymi obiektami, w pełni odpowiadającymi wymogom współczesnej medycyny? Może trzy, cztery... Skarżysko-Kamienna, 300 łóżek, oddany w r. 1959* — wylicza... — *Dalej Starachowice, placówka wybudowana w r. 1948 — 445 miejsc... Jeszcze Ostrowiec Świętokrzyski — około 500 łóżek — szpital ruszył w ub. r. No i Radom* — do wyprostowanych trzech palców dłoni dr Bubnowa dołącza się czwarty. — *Pół szpitala już uruchomiono, dalsza część będzie otwarta w tym roku. Równocześnie pozostanie 700 miejsc w starych budynkach, dokona się pewnych adaptacji; w sumie Radom będzie miał 1100 łóżek...*

— To wszystko chyba szpitale miejskie — wtrącam — a powiatowe?

— *Powiatowe, pyta pani... sześć powiatów w ogóle nie ma szpitali. Ludzie z Lipska leczą się w Iłży, ze Zwolenia — w Radomiu, z Przysuchy — w Końskich i Opocznie, z Kazimierzy Wielkiej — w Pińczowie... Karetki kursują po województwie, wożąc chorych do miejscowości, odległych nieraz o kilkadziesiąt kilometrów. Ze szpitali powiatowych* — podkreśla dr Bubnow — *ani jeden nie powinien nosić w Kielecczyźnie tej nazwy, bo ani jeden na nią w pełni nie zasługuje. Przede wszystkim — ze względu na warunki lokalowe, powodujące nie tylko nadmierne zagęszczenie i przeciążenie szpitali, lecz także uniemożliwiające zainstalowanie nowoczesnego sprzętu, aparatury itp.*

— Byłam we Włoszczowej, widziałam...

— *Takich „Włoszczowych" mamy w Kielecczyźnie nie jedną, ale dwanaście. Wszędzie zagęszczenie, przekraczające wszelkie normy.*

— Chorzy leżą też na korytarzach...

— *Tak. I gdy zajdzie potrzeba, także — niestety — po dwóch chorych na jednym łóżku. Włoszczowa nie jest wyjątkiem ze swymi fatalnymi warunkami lokalowymi... Szpital w Sandomierzu mieści się w budynkach poklasztornych. Szpital w Staszowie — w dawnych magazynach solnych, pamiętających czasy Kazimierza Wielkiego. Placówka w Jędrzejowie jest zabytkiem. To samo w Opatowie. Tu, niestety, dodam, że walczym się zabytkiem. Komisja budowlana chciała go zamknąć. Więc krzyk: „A gdzie się będą ludzie leczyć?" W końcu po-*

(Dokończenie na str. 8)

Kieleckie skarby Tysiąclecia

ZABYTKI I RUINY

TADEUSZ BARTOSZ

BOGATĄ historię Ziemi Kieleckiej zanotowały pomniki w postaci zabytków: podziemia starych kopalń, piece hutnicze, ruiny obronnych grodzisk i zamków, pałace zachowane w dość dobrym stanie, stare klasztory i kościoły z cennymi freskami.

Można wyróżnić dwie główne funkcje naszych zabytkowych obiektów. Perwsza — jako dokumenty historyczne o poznawczych wartościach naukowych i artystycznych. Ileż to naszej nauce o początkach państwa polskiego powiedziała i powie jeszcze Wiślica! Ile o technice plemion słowiańskich — od I wieku naszej ery począwszy — mówią owoce badań starożytnej techniki górniczo-hutniczej w Górach Świętokrzyskich, prowadzone niestrudzenie od 11 lat przez prof. Mieczysława Radwana i dr Kazimierza Bielenina z Krakowa.

Druga funkcja zabytków posiada charakter dydaktyczny. Mają one uczyć młodzież historii narodu, jego kultury, od najdawniejszych do dzisiejszych czasów.

Badania kopalni krzemienia z okresu neolitu w Krzemionkach koło Ostrowca — jednej z nielicznych w Europie, odkrycie wysokiej kultury technicznej w pierwszych wiekach naszej ery, poznanie wczesnośredniowiecznej historii w efekcie badań na grodzisku w Stradowie k. Wiślicy, obiektów architektonicznych w Opatowie, Zagości, Skalbmierzu — wszystko to weryfikuje nasze dotychczasowe poglądy, uzupełnia dzieje tych ziem.

Bogata jest również kultura ludowa Kielecczyzny. Daje nam ona obraz życia ludu kieleckiej wsi, twórczej odrębności regionu.

• • •

Łączymy dziś troskę o ochronę dóbr kulturalnych z naszymi potrzebami tworzenia i rozwijania współczesnej kultury. Wojewódzkie władze konserwatorskie dążą przede wszystkim do zabezpieczenia, odbudowy i wykorzystania zabytków. Praca ta trwa od pierwszych miesięcy po wyzwoleniu. Przecież to w latach 1945—1954 przeprowadzone zostały roboty konserwatorskie przy 106 różnych zabytkowych obiektach, a odbudowano częściowo około 140 dalszych.

To były pierwsze sprawy do załatwienia. Potem przyszły dalsze. To chyba po raz pierwszy w kraju, na Kielecczyźnie rozpoczęło się współdziałanie historyków kultury z urbanistami i architektami. Przedmiotem tego współdziałania były studia nad układami przestrzennymi miast w różnych wiekach ich życia. Studia te stanowiły warunek sine qua non współczesnej rozbudowy tych miast. A poza tym dawały cały szmat nieznanej historii, właśnie budowlanej, urbanistyczno-architektonicznej.

• • •

Na Ziemi Kieleckiej brało swój początek Millenium, tu na stokach Gór Świętokrzyskich, gdzie „Officina Ferraria abo Huta y Warstat z Kuźniami Szlachetnego Dzieła Żelaznego" swoją kolebkę miała. Tu, w Wiślicy, u stóp zagnańskiego „Bartka", który za Chrobrego młodym jeszcze dębczakiem był, tu w starych Żarnowach, Przedborzach, Skalbmierzach i Lelowach...

Wojewódzki Konserwator Zabytków, mgr Jerzy Michałowski, mówił niedawno na Kieleckim Sejmiku Kulturalnym, że biorąc pod uwagę dotychczasowy stan opieki nad zabytkami Kielecczyzny konieczne jest wprowadzenie nowej polityki finansowej. Wiadomo przy tym, że celu działalności konserwatorskiej nie zakreśla samo odbudowanie zabytku i postawienie go, aby cieszył oczy i serca turystów. Jeśli to zamek chęciński, to może jako siedziba muzeum, czy pomieszczenie dla turystów. Ma to swój cel. Gdyby resort kultury i sztuki przeznaczył największe nawet środki na konserwację czy odbudowę zabytkowych budowli, to i tak pieniędzy tych nie wystarczy. Ciężar ochrony zabytków kultury powinien spocząć na użytkownikach i właścicielach tych zabytków. Konserwator będzie radził i kontrolował stan zabytkowego obiektu. To jedynie słuszne wyjście. Ostatnio jakoś nie słyszy się już o różnych GS i POM — użytkujących zamki, pałace i stare dworki, jako spichrze, gromadzące zboże, pasze, sztuczne nawozy.

Są pierwsze, coraz lepsze wyniki takiego postawienia sprawy. W

(Dokończenie na str. 8)

Mecenas z głową

(Dokończenie ze str. 1)

nizatorzy chcieli więc stworzyć towarzystwo — „omnibus". I to było ponad ich siły. Pozostały tylko piękne plany. Nic więcej. Powstała paradoksalna sytuacja: aktywnie działały dalej towarzystwa regionalne (łomżyńskie, ełckie, ciechanowickie), a na szczeblu wojewódzkim przez kilka lat panowała „pustka".

Organizatorzy BTK pamiętali o tych błędach. Postąpili niewątpliwie bardzo słusznie zawężając, a raczej uściślając zadania towarzystwa do określonych rozmiarów. Jako główny cel działania przyjęto rozwijanie — jak to określa sekretarz BTK, red. Franciszek Lewicki — **społecznego mecenatu nad** środowiskami twórczymi. A Białystok posiada stosunkowo prężne środowiska twórcze (plastyków, aktorów, muzyków, dziennikarzy), które jednak często działają w oderwaniu, nie mają zapewnionej odpowiedniej opieki. To, oczywiście, musi rzutować na efekty ich pracy.

I to jest pierwsza linia działania BTK. Zamierzenia na najbliższą przyszłość są bardzo obiecujące. Weźmy chociażby sprawy wydawnicze. W Białymstoku pracuje wielu zdolnych, młodych dziennikarzy. Ich dorobek znany jest tylko w województwie „ojczystym". Dotychczas właściwie nie mieli możliwości zaprezentowania swojej twórczości na zewnątrz. BTK wystąpiło więc z inicjatywą wydania zbioru białostockich reportaży. Ta propozycja spotkała się z dużym zainteresowaniem, **więcej, pobudziła** ambicje.

Następna sprawa: popularyzacja Ziemi Białostockiej. Do tej pory o województwie pisali stołeczni dziennikarze, literaci. Podobnie było z grafiką i fotografiką. A przecież białostoccy twórcy lepiej znają **swój region i mogliby go pełniej** ukazać mieszkańcom innych województw. BTK czyni już starania o wydanie dwóch albumów. Jeden **poświęcony byłby Ziemi Białostockiej**, drugi białostockiej sztuce ludowej.

BTK nie zawęża zakresu swej działalności jedynie do środowisk twórczych, które istnieją w Białymstoku. Białostockie Towarzystwo Kultury zrzesza na zasadzie dobrowolnej federacji regionalne i wyspecjalizowane stowarzyszenia społeczno-kulturalne i artystyczne. Regionalne stowarzyszenia zachowując samodzielność zostaną otoczone przez BTK wszechstronną opieką. A więc nie prowadzenie za rączkę, kierowanie, ale pomoc, popieranie każdej ciekawej terenowej inicjatywy, która zrodzi się w powiecie czy miasteczku. Wspomnę, że Towarzystwo Miłośników Ziemi Białostockiej uważało regionalne **stowarzyszenia za swoje filie, oddziały**, co było nieporozumieniem.

Aby BTK mogło rozwinąć większą działalność, potrzebne są także pieniądze. Białostockie nie jest bogatym województwem. To prawda. Ale z drugiej strony dużo zakładów pracy, instytucji dysponuje funduszami na cele kulturalne, które najczęściej nie są właściwie spożytkowane. Chyba można zaryzykować twierdzenie, że te spore środki finansowe, rozproszone po wielu instytucjach, po prostu marnotrawiono.

Białostockie Towarzystwo Kultury zaproponowało skupienie na jego koncie tych wszystkich funduszy. Wbrew pesymistycznym obawom propozycję poparły już pierwsze zakłady przemysłowe. Na liście członków wspierających BTK znalazły się Kolejowe Zakłady Konstrukcji Stalowych w Starosielcach, kombinat włókienniczy w Fastach, Białostocka Fabryka Pluszu, Okręgowy Zarząd Lasów Państwowych, Białostocka Spółdzielnia Mieszkaniowa i Międzyzakładowa Spółdzielnia Mieszkaniowa „Zachęta".

Wszystko wskazuje na to, że Białostockie Towarzystwo Kultury jest tworem udanym. Niewątpliwie wpłynie ono w istotny sposób na — jak określono to w statucie — *„wszechstronne rozwijanie kultury społeczeństwa Białostoczyzny i zapewnienie województwu najbardziej poczesnego miejsca w życiu kulturalnym w kraju".*

Stanisław Świerad

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

Symfonia zmierzchu

Drzewa są już tylko snami ptaków.
Stare studnie, chcąc poznać siebie,
Stają się głębsze i cichsze o pierwszą gwiazdę.
Umarli na nowo przeżywają szelest liści
I nieprzytomne zapachy kwiatów.
Wszystkie ścieżki wiodą ku samotności.
Samotna biel brzóz szuka pojednania
Z zagniewaną chmurami samotnością nieba.
Rzeki odpływają tam, skąd nie ma powrotu.
Światła zapalone w okienkach dalekich chat
Obiecują ciszę sprzętów, rąk, ust i oczu kobiety,
Która, kiedy kocha, jedną ręką podnosi
Niebo, drugą ziemię, ale jest to złudzenie.
Prawdą jest tylko ciemność i kołyszące się pod wiatrem gałęzie.
Zaniemówienie pól, łąk i lasów
Okrutnie przemilcza naszą samotność.
Jesteśmy bardzo daleko i nie może być dalej.
Zmierzch jest spojrzeniem na drugą stronę świata.
Żółty zapach łubinu prowadzi nas nad przepaścią niespełnienia.
O zmierzchu ból mgieł i dymów jest potrójny.
Cienki promień księżyca, wślizgując się w wąską szparę stodoły,
Pada zimną nieobietnicą na usta śpiącej w niej dziewczyny,
A poza tym jest cicha rozpacz wierzb i wody
I błądzenie od płota do płota,
I od figury przydrożnej do kamienia przydrożnego.
Kiedy wszyscy śpią i tylko ty jeden nie śpisz,
Sny wszystkich śpiących nawiedzają cię
I przytłaczają senną ciemnością.
Cykanie świerszczy spotyka się z wiatrem i trawą,
A kiedy patrzysz w ciemność, wiesz, że miłość jest nieosiągalna.
To, co zbyt piękne, musi umrzeć,
Strywializowane przez praktyczne światło dzienne.
Tylko Marie i Weroniki o zmierzchu niepraktycznie
Otwierają swoje serca ciszy i kwiatom.
Poza tym ciemność, ciemność bezlitosna
I głosy wierzb i wiatraków,
I głosy pól i lasów, gubiące się
W głębi twojej krwi i spalające się w jej ogniu.
Wracać do czego i po co? Nie ma powrotu.
Powrót zawsze jest bólem ustokrotnionym.
Nie wracają fale ani wiatry
I gwiazdy ani usta nie są te same.
O zmierzchu milczenie ptaków jest odkryciem
nowych zakamarków ciszy.
A wysmukła wysokość topól jest wysokością samotności
ostatecznej.
O zmierzchu człowiek jest odejściem, nigdy przyjściem.
Odejściem są konie i krowy,
Drzewa, trawy i kwiaty
I krzyże przydrożne płaczące nad przebitymi gwoździami
rękoma człowieka.
Nie jestem dzienny, jestem zmierzchowy.
Uratowany od pieców krematoryjnych,
Nie jestem uratowany od samego siebie.
Od własnej ciemności i miłości,
Okrutniejszej niż czarne noże mroku.
Zmierzch jest moim domem i moim oddechem.
Jeśli można tak nazwać bezdomność
I duszenie się w czterech ścianach przywidzeń.
Zmierzch podchodzi mi pod gardło
I widzę panieczną ucieczkę barw i kształtów,
I widzę: nad wsłuchaną w siebie ziemią
Wisi czarne serce zmierzchu.

Rzeszowska witryna literacka

CECYLIA BŁOŃSKA

OD KILKU lat ambicją rozrastającego się Rzeszowa jest utworzenie własnego środowiska literackiego: nie tylko przyciągać pisarzy sięgających od czasu do czasu po rzeszowski motyw, ale pewną grupę piszących na stałe zintegrować z regionem. Zrozumiałe zainteresowanie wzbudziły więc nowości, jakie ukazały się w witrynie księgarskiej.

Autorem wydanego przez „Iskry" zbioru opowiadań „Upał" jest prozaik i poeta Bogdan Loebl, reprezentant młodego pokolenia, kierownik rzeszowskiego Klubu Literackiego.

Wywodzący się z Rzeszowszczyzny i związany z nią twórczością Kazimierz Bosek jest autorem „Cyrografu na własnej skórze" — również w edycji „Iskier". Zwaszcza reportaż z nowo wydanego zbioru. „Imię ziemi mojej" wyraziście obrazuje przemiany, jakie stały się udziałem młodego pokolenia, i którym w okresie lat dwudziestu uległa również jego rodzinna strzyżowska wieś. Na tło tych przeobrażeń autor nakłada swój odmienny los, wzbogacając ładunek spraw autobiograficznych mnogością ogólniejszych obserwacji.

W ostatnich latach na księgarskim rynku regionu notowano wydany przez Lubelską Bibliotekę Poetycką zbiór wierszy Józefa Janowskiego z Krosna „Twarzą przy ziemi". (r. 1963) Józef Kapuściński, nestor ludowych poetów zamieszkały w Przemyślu, autor publikowanych w Krakowie „Ciernistych ścieżek literatury ludowej" (r. 1946), wydał z kolei zbiór poezji „Niezapominajki" (Lubelska Biblioteka Ludowa r. 1963). Stanisław Orzeł z Tarnobrzegu jest autorem książek „Pod Łysicą" (r. 1951), „Kamienna droga" (r. 1954), „Chmurne lata" (r. 1956).

Ostatnio ukazały się nakładem Wydawnictwa Lubelskiego utwory Tadeusza Piekły „Próba elipsy" oraz wspomnienia Jakuba Willnera z Przemyśla „Moja droga do Mauthausen". Na miejsce w planie wydawniczym oczekują poezje Czesława Kondraciuka, Stanisława Ostrowskiego, Barbary Tondos, Wiesława Kulikowskiego i drugi tomik Józefa Janowskiego. Walkom z bandami UPA poświęcona jest powieść, również już w druku, Władysława Kisielewskiego „Batalion śmiałych". Twórczość rzeszowskich poetów ludowych znajdzie odbicie w kolejnym tomie edycji „Wieś tworząca". Kontynuacją pisarstwa ludowego, mającego chlubne tradycje na Rzeszowszczyźnie, będzie anonsowane na r. 1967 przez Wydawnictwo Lubelskie „Wesele w Kraczkowej" Walentego Kunysza.

Określany niekiedy przez krytykę literacką jako autentysta, pisarz samorodny — Roman Turek z Łańcuta, autor wznawianego kilkakrotnie bestsellera „Moja mama ja i reszta", „Pod rządami najjaśniejszego pana", bezwątpienia autentyczny talent pisarski, obecnie już członek ZLP, ma na warsztacie zbiór opowiadań o obyczajowej tematyce wsi.

Jerzemu Pleśniarowiczowi, członkowi Związku Literatów Polskich, kierownikowi literackiemu Teatru im. Wandy Siemaszkowej, nie tylko rzeszowska scena zawdzięcza serię przekładów z dramaturgii radzieckiej: „Dzikusy", Michałkowa, „Pięć wieczorów" Wołodina i kilka jeszcze innych pozycji, do których dochodzi obecnie, przełożona na język polski sztuka Juliu Edlisa „Gdzie jest Abel brat twój?" (premiera odbyła się ostatnio w Rzeszowie). J. Pleśniarowicz jest również jednym z aktywnych tłumaczy literatury słowackiej.

Obok pozycji, jakie już się ukazały, obok tych, które wprowadzone zostały do wydawniczego kalendarza na najbliższe lata, spory zespół adeptów literatury (w tym ciągle jeszcze b. nieliczni członkowie ZLP), skupiony w rzeszowskim Klubie Literackim, pisze, pracuje; większość z nich publikowała swoje utwory w rzeszowskim Almanachu Poetyckim.

Poczynaniom młodziutkiego ośrodka literackiego patronuje krakowski Oddział ZLP; często bywa tutaj jego prezes Stefan Otwinowski, uczestnikami spotkań są: Adam Włodek, Wisława Szymborska i in.

Ostatnie zebrania Klubu miały na celu energiczniejsze „pchnięcie naprzód" spraw organizacyjno-wydawniczych. Wraz z sekretarzem KW PZPR w Rzeszowie, Stanisławem Rybą, przybyli do Klubu kierownicy rzeszowskich instytucji kulturalnych — Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej, „Domu Książki", Biura Wystaw Artystycznych, „Ruchu" nie szczędząc kandydatom na pisarzy i poetów konkretnych propozycji, mających na celu bardziej powszechną prezentację ich twórczości na bezpośrednich spotkaniach w określonych środowiskach.

Klub odwiedzili również przedstawiciele Wydawnictwa Lubelskiego, obejmującego swą działalnością, obok Lubelskiego, Białostockiego i Kieleckiego, również i Rzeszowszczyznę. Więzy z tą instytucją wydawniczą łączą Rzeszów od dość dawna, czego dowodem była również reprezentacyjna wystawa dorobku wydawniczego, jaką przed kilku laty Wydawnictwu zorganizowano w salach Teatru im. Siemaszkowej.

Najnowsze spotkanie miało służyć dalszemu zacieśnieniu kontaktów, omówieniu konkretnych propozycji, uzgodnieniu planów współdziałania z miejscową bazą poligraficzną.

Na spotkaniu z edytorem debiutanci in spe wysuwali swe propozycje w sposób nazbyt nieśmiały. Istnieje niebezpieczeństwo, że i te skromne możliwości, jakie otwierają się, jakieś nadwyżki z budżetu Prezydium Miejskiej Rady Narodowej mogą zostać przechwycone przez chałturę, posługującą się pseudonaukowym „aparatem", od lat prosperującą na słusznych skądinąd ambicjach naukowych Rzeszowa. Miejmy nadzieję, że tak jednak nie będzie gdyż Rzeszów stał się ośrodkiem uniwersyteckim i zaistniała możliwość dalekoidących specjalistycznych konsultacji dla zamierzonych wydawnictw typu naukowego; wyższe uczelnie wzbogacą zapewne rzeszowski rynek wydawniczy o własne prace, realizowane przez rzeczywistych pracowników nauki, a więc już nie po amatorsku i dyletancku.

Przed adeptami pióra Wyższa Szkoła Pedagogiczna, najmłodsza wyższa uczelnia Rzeszowa, otwiera konkretne perspektywy dalszego samokształcenia, dla niektórych wręcz kontynuowania i ukończenia studiów. Na owych roboczych spotkaniach kadra naukowa WSP proponowała członkom Klubu udział w seminariach i studiach nad historią literatury i wersyfikacją. (Warto by jeszcze rozszerzyć, te ze wszech miar pożądane kontakty, o wspólne dyskusje nad utworami).

Obok literatury pięknej wiele jest jeszcze cennych prac, które należałoby wydobyć na światło dzienne. W związku z 60-leciem ZNP rzeszowscy nauczyciele, najbardziej naturalni sojusznicy kultury i literatury, z licie benedyktyńską pracowitością, na maszynie wydrukowali w kilku egzemplarzach, w formie pięknie oprawnej księgi, protokoły Ogniska ZNP w Tyczynie, jednego z najstarszych w Polsce, opatrując to niezwykle wydawnictwo bogatym zestawem fotodokumentów.

Od szeregu lat czeka na edytora spory zbiór rzeszowskich pieśni i przysłów ludowych, zebranych przez polonistę Władysława Długosza.

Obecnie trzeźwej i sprawiedliwej polityki wydawniczej wymaga sprawa efektywnego skrócenia drogi od twórczości do upowszechnienia, torowania wartościowym pozycjom regionu, bodaj skromnego, na początek, miejsca w literackiej witrynie.

LISTY DO SZCZEPANIKA

NADCHODZĄ do Lublina z całej Polski, ba — nawet z Japonii, USA i Kanady. Przeważnie od dziewcząt w wieku od 9 do... trudno określić górną granicę. Chyba najwięcej piszą nastolatki, uczennice 9—11 klas. Około 90 proc. listów zawiera prośby o zdjęcie i autograf. Połowa dziewcząt chce nawiązać stałą korespondencję. Są i listy z... wyznaniami miłosnymi.

Gdyby Piotr Szczepanik chciał na każdy list odpisać, musiałby stworzyć specjalne biuro, no i przeznaczyć niebagatelne fundusze na opłaty pocztowe i zdjęcia. Do nielicznych należą wypadki, że w kopercie znajduje się znaczek na odpowiedź.

Pisaliśmy już w „Kamenie" (nr 13—14 z ub. r.) o niezwykłej popularności tego piosenkarza. W konkursach Polskiego Radia na piosenkę miesiąca Szczepanik już kilkakrotnie zajął pierwsze miejsce. Słuchacze uznali, że aż 3 piosenki w jego wykonaniu to szlagiery 1965 roku.

Nie miejsce tu na rozważania, dlaczego tak się dzieje. Faktem jest, że niezależnie od tego co piszą i co mówią zawodowi krytycy, Szczepanik zdobył sobie bardzo wielu sympatyków. Dowodem tego mogą być również listy, których liczba przekroczyła już pięć tysięcy.

Przedstawiam czytelnikom „Kameny" fragmenty niektórych listów, które bezsprzecznie mogą stanowić ciekawy materiał dla psychologa i socjologa. Ze zrozumiałych względów podaję tylko imiona nadawców i miejsce ich zamieszkania. Zachowuję oryginalną pisownię.

* * *

9-letnia Bożenka z Warszawy:

„Bardzo pana przepraszam, że zabieram panu drogocenny czas ale cóby pan zrobił jakby mnie pan tak uwielbiał? I dlatego proszę o conajmniej 3 zdjęcia".

Elżbieta z Sędziszowa:

„Miły piosenkarzu! Piszę do pana z powodu tego, aby bardzo prosiłabym żeby pan mógł odpowiedzieć na moje pytania. 1. Po ilu klasach i jaką szkołę pan ukończył. 2. Gdzie można się dostać do tej szkoły w której pan się uczył. Ja zdałam do klasy siódmej, a bardzo chciałabym iść do tej szkoły".

Elżbieta z Porąbki:

„Miły Panie Piotrze! I ja nie mogę się powstrzymać, aby napisać, że Pana piosenki są śliczne, które Pan również ślicznie wykonuje. Nie zdziwi się Pan zatem jeżeli napiszę, że bardzo starannie kolekcjonuję piosenki z Jego repertuaru oraz fotosy. W związku z tym gorąca prośba do Pana o przysłanie fotografii wraz z autografem. Będzie to moja najmilsza pamiątka".

Zosia z Nowin Wielkich:

„Miły kolego Piotruś! Chcę się z Tobą poznać. Zależy to nie odemnie, lecz od Ciebie. Chciałabym z Tobą korespondować. Na imię mam Zosia. Czekam z niecierpliwością na odpis".

Danuta z Będzina:

„Panie Szczepaniku! Koncert z udziałem Pana, który odbył się w naszym województwie (Dąbrowie Górniczej) nie pozwolił dłużej czekać aby nie napisać choć parę słów pochwały. Na jakież wielkie słowa uznania zasługują piosenki, które Pan śpiewa, są wykonane zawsze w pięknym „grzecznym" nastroju,... Pana piosenki zaćmiły wszystkie nagrania Niemena Wydrzyckiego, Kasi Sobczyk, nawet potrafiłyby zastąpić wszystkie przeboje czterech kudłatych chłopców z Riverpol...".

Halina z Łodzi:

„J. W. Panie Piotrze! Pan jest pierwszą sławą której ośmielam się zabierać cenny czas i myślę, że już do nikogo nie będę się wygłupiać. Zastanawiam się co napisać, aby zabawić grono czytające ten list, bo podejrzewam, że Pańscy koledzy czytają Pana korespondencję. Nudzę już Pana długo, a jeszcze nie wyjawiłam celu tego poematu, bo przecież wszystko ma swój cel. A więc muszę się przyznać, że szalenie lubię Pana piosenki i uwielbiam je śpiewać, ale robię to tylko jak jestem sama w domu, bo nawet przy rodzinie nie odważyłabym się... Mam do Pana ogromną prośbę, aby Pan w wolnej chwili przysłał mi słowa piosenki Deana Martina (nie znam angielskiego) „Każdy musi kiedyś kogoś pokochać". Wiem, że Pan nie ma za dużo czasu chociaż z własnych obserwacji (z okna akademika) widzę, że chłopcy z uniwerku ciągle się obijają. Może jednak w przerwie między spotkaniami z sympatiami znajdzie Pan chwilkę czasu i pomyśli o mnie czyli raczej o mojej prośbie. Och, jeszcze nigdy nie napisałam takiego długiego listu do faceta, bo jestem strasznie nieśmiała i zawsze w listach musiałam się pilnować, bo była szansa, że facet spotkam i będę się musiała wstydzić. Ale w stosunku do Pana to mi nie grozi chyba, bo gdzie Lublin a gdzie Łódź... Wie Pan, że trochę Panu zazdroszczę, ale nie sławy, tylko tego, że otrzymuje Pan dużo listów. Bo ja strasznie lubię otrzymywać listy, ale niestety nie mam od kogo oprócz mamy".

Bogdan z Kudowy:

„Drogi piosenkarzu. Moje choby to zbieranie zdjęć piosenkarzy i aktorów z całego świata. Uprzejmie proszę o przysłanie mi Pańskiego zdjęcia wraz z autografem. Ja również trochę śpiewam. Ostatnio śpiewałem na festiwalu pod nazwą „Szukamy młodych talentów" i zająłem 3 miejsce — za co w nagrodę wyjechałem do CSR (Czechosłowacji). Mojm marzeniem jest by kiedyś zabłysnąć taką karjerą jak Pan. Prosze mnie nie zawieść".

Maria z Jaworzna:

„Szanowny Panie Piotrze Szczepanik! Dzisiaj byłam na imprezie w której Pan występował... Kiedy konferansjer zapowiedział że będzie śpiewał 33-letni student z Lublina szepnęłam Piotruś, gdyż tak pana nazywam. Piosenek wysłuchałam w milczeniu po ich zakończeniu biłam zapamiętale brawo, tym samym prosząc o jeszcze. Mój zwrok był skierowany na Pana, gdy pan popatrzył na nas uśmiechnęłam się, a Pan tak mi się zdawało również. Byłam ubrana w różowego misia, zapinaną pod szyję. Włosy mam czarne szczesne na uszy. Jeśli mnie pan widział w co wątpię to proszę napisać naturalnie jeśli pan zechce".

Irena z Gdańska:

„Piotrusiu! Jak będziesz na Wybrzeżu wpadnij do mnie".

Ewa z Pakości:

„Dzień dobry! Mam 18 lat i bardzo lubię piosenki a wogóle razem muzykę. Bardzo mi się podobają piosenki w Pańskim wykonaniu. Niestety nie mam adapteru i mogę jedynie liczyć na radio lub telewizję. Najbardziej podobają mi się dwie z Pana repertuaru: „Kormorany" i „Lepiej nie pytaj". Bardzo bym chciała mieć autograf ich wykonawcy. Ponieważ mam już dużo autografów dobre Pana chęci wzbogaciłyby ich zbiór. Wyobrażam sobie miny moich koleżanek z klasy, które starały się mnie przekonać, że moje zabiegi nie dadzą rezultatów."

Halina z Poznania:

„Panie Piotrze. Jestem uczennicą, mam 18 lat. Chciała bym z „Panem" korespondować. Z zainteresowaniem słucham „Pana" piosenek. Jestem bardzo ciekawa czy „Pan" śpiewa z zamiłowania czy dla rozrywki. Nic o „Panu" nie wiem. Czy może „Pan" jeszcze studjuje czy już nie. Właściwie to nie wiem o czym mam w pierwszym liście do „Pana" pisać. Ja interesuje się piosenkami i pieśniarzami. Zbieram fotosy piosenkarzy. Prosiłabym także o Pa-

→

WYJŚCIE Z LABIRYNTU?

MIROSŁAW DERECKI

W REPORTAŻU — „Kapitan Kloss i worek ze złotówkami" („Kamena" nr 20 z ub. r.) pisałem o spostrzeżeniach, jakie wyniosłem z odwiedzin kilku tzw. placówek k-o, czyli świetlic i klubów przy różnych lubelskich instytucjach, przez te instytucje finansowanych i całkowicie im podległych.

Stwierdziłem wówczas, że szereg zakładów pracy albo w ogóle nie prowadzi systematycznej działalności kulturalnej na „swoim terenie", albo, jeżeli już ją prowadzi, czyni to w swoisty sposób, bez jakiejś ściślejszej koncepcji i bez porozumiewania z instytucjami powołanymi do zajmowania się w skali miasta czy województwa — kulturą. Marnuje się przy tym niemało pieniędzy wydzielonych z funduszu zakładowego i z funduszu rady zakładowej.

Niedawno znowu zetknąłem się bliżej z dziwnymi „zależnościami" zachodzącymi w działalności kulturalnej, z kontrowersjami pomiędzy radami narodowymi (ich wydziałami kultury) a instytucjami i przedsiębiorstwami posiadającymi w swoim budżecie fundusze na działalność kulturalną.

Jeszcze do niedawna lubelskie władze kulturalne nie miały na przykład rozeznania, ile jest właściwie w Lublinie świetlic i klubów, ani kim są i jakie mają podstawy do sprawowania swych funkcji — osoby w nich pracujące. Większość bowiem zakładów pracy, po prostu nie zadaje sobie trudu odpowiadania na pisma wydziałów kultury w tej i wielu podobnych sprawach. Kiedy wreszcie, po licznych wysiłkach, ustalono liczbę placówek kulturalnych działających w Lublinie, okazało się, że jest ich w sumie 105, ale aż 65 procent nie nie robi.

Inne zaskakujące dane liczbowe są w posiadaniu Wydziału Kultury Prez. WRN w Lublinie. Dane te nadesłane przez niektóre instytucje i zakłady pracy, informują o możliwościach finansowych związanych z działalnością kulturalną na własnym terenie. Jest tam również mowa o wydatkach zaplanowanych na najbliższe lata. Tutaj trzeba podkreślić, że informacje zostały udzielone Wydziałowi Kultury na skutek specjalnego zarządzenia Ministerstwa Finansów, w związku z tzw. „kompleksowym opracowaniem kultury". A jednak mimo to tylko niektóre zakłady pracy uważały za stosowne ujawnić swoje środki wobec Wydziału Kultury, któremu „przecież nie podlegają".

Przeglądając nadesłane informacje, napotkałem „zabawne" nieraz nieścisłości: na przykład centrala wojewódzka jakiegoś przedsiębiorstwa nadesłała lakoniczne pisemko informujące, że w ogóle nie posiada pieniędzy na „kulturę", a tuż obok widnieją pisma podległych jej komórek powiatowych, wyliczające skrupulatnie wcale pokaźne sumy przeznaczone na działalność kulturalno - oświatową. Wśród korespondencji nie ma informacji dwóch instytucji, prowadzących działalność kulturalną na większą skalę: zasobnego Wojewódzkiego Związku Spółdzielczości Pracy oraz Wojewódzkiej Komisji Związków Zawodowych.

Nadesłane oświadczenia pozwoliły jednak po raz pierwszy wydziałom kultury zorientować się w możliwościach finansowania działalności k-o w skali wojewódzkiej i stanowią pewnego rodzaju rewelację.

Na przykład Wojewódzki Związek Gminnych Spółdzielni „Samopomoc Chłopska" informuje, że w 1934 roku przeznaczył na wydatki bieżące związane z działalnością kulturalną 2014000 zł, a na inwestycje kulturalne 1200000 zł. W roku 1965 przeznaczono na te same cele: 2370000 złotych i — odpowiednio — 2,5 miliona zł. Ale już na 1966 rok planuje się na wydatki bieżące prawie 2600000 zł, zaś na inwestycje aż 3,5 mln zł. A więc w 1966 roku sam tylko WZGS przeznaczy na cele kulturalne grubo ponad sześć milionów!

Inny przykład: oddział lubelski Związku Spółdzielni Spożywców, zaplanował około półtoramilionową kwotę na wydatki bieżące w roku 1966 i 150000 zł na inwestycje. W sumie tylko dwie z wielu działających w województwie instytucji wydadzą w bieżącym roku na cele kulturalne prawie 8 milionów złotych. W tymże roku Wydział Kultury Prez. WRN dysponuje na potrzeby całego województwa kwotą 55 mln zł (bez inwestycji). Z tego „a ż" siedem milionów może przeznaczyć dla domów kultury.

Podobne stosunki istnieją zresztą i w innych województwach. Rady narodowe borykają się na ogół z ogromnymi trudnościami. Niejednokrotnie sumy, jakimi mogą dysponować, są absurdalne w stosunku do posiadanych przez liczną „konkurencję". W wielu wiejskich świetlicach prowadzonych przez rady narodowe brak odpowiednich mebli. Oczywiście wynika to w jakiejś mierze z niemożności dostania w sklepach mebli typowych, ale przede wszystkim jest skutkiem niewielkich środków finansowych, jakie rady mogą przeznaczyć na wyposażenie.

W województwie kieleckim na zakup sprzętu dla klubów przeznaczało się w 1964 r. ...pół miliona złotych. To znaczy, że na jedną placówkę kulturalną wypadało mniej więcej dwa tysiące. Jednocześnie działający w tym województwie Ruch wyposaża swoje kluby w sprzęt wartości 30—40 tysięcy złotych, a kluby rolnika na Lubelszczyźnie otrzymują od WZGS na ten sam cel niejednokrotnie sumę 100.000 zł. W Kieleckiem budżet wiejskiej placówki finansowanej przez radę narodową kształtuje się w granicach 11—20 tys. zł rocznie, z czego na działalność k-o przeznacza się w najlepszym wypadku jeden, do trzech tysięcy. Przy tym, według sprawozdań nadsyłanych z terenu, dużym wydatkiem ma być podobno opłata za energię elektryczną, zużywaną na... przygotowywanie kawy stanowiącej pozycję dochodową klubów!

Wróćmy jednak do miasta. Większość powiatowych i miejskich domów kultury boryka się z poważnymi kłopotami finansowymi, budżet ich zamyka się kwotą 200—250 tys. zł rocznie, a tylko 7,4 proc. tej kwoty można przeznaczyć na opłacenie prelegentów i wykładowców, organizację wystaw, imprez oświatowych i pracę instrukcyjno-metodyczną. Lepiej już nie sięgać do budżetu zwykłych świetlic i klubów... Mimo to efekty pracy są nierównie większe, niż gdzie indziej. A jeśli chodzi o liczby, to w 1965 r. na jednego pracownika poradnictwa w powiatach wypadało 56 placówek i 83 zespoły.

Wszystkie przykłady wykazują, jak bardzo skomplikowana sytuacja wytworzyła się w polityce kulturalnej na prowincji. Przy tym charakterystyczne jest, że o ile z jednej strony mamy określony program działalności, cały aparat wytworzony w ciągu wielu lat służący krzewieniu kultury, kadry fachowców, szkolenia, itp., oraz... wciąż niewystarczające możliwości finansowe, z drugiej strony — nie ma na ogół kłopotów z bazą materialną ale za to często brak tradycji w pracy kulturalnej, a przede wszystkim działa się na zasadzie: każdy na własną rękę. Brak porozumienia między wydziałami kultury a licznymi przedsiębiorstwami, brak niekiedy nawet bliższej znajomości doprowadza do licznych nieporozumień. Gdy w pewnym przedsiębiorstwie podjąłem rozmowę na temat współpracy z resortem kultury, lub nawet zdania się w całości na jego głos doradczy w przedsięwzięciach kulturalnych przedsiębiorstwa, usłyszałem odpowiedź, że wydziały kultury „czyhają" na pieniądze przeznaczone na k-o. Gdzie indziej dyrektor oświadczył wprost, że nikt nie ma prawa wkraczać w jego kompetencje, ani w politykę kadrową podległego mu przedsiębiorstwa.

Trochę innego rodzaju historia przydarzyła mi się w jednym z mniejszych zakładów pracy. Przedstawiciel rady zakładowej tłumaczył, że istniejącą tutaj od lat świetlicę zlikwidowano, ponieważ była ona siedliskiem zepsucia i stanowiła przystań dla najgorszych mętów z całej dzielnicy. Nikomu jakoś nie wpadło na myśl zwrócić się na przykład do wojewódzkiej poradni kulturalno - oświatowej z prośbą o radę. Wątpię, czy którykolwiek z członków rady zakładowej wiedział, że w ogóle istnieje taka instytucja. Nie da się zresztą ukryć, że w drobniejszych instytucjach rady zakładowe wykazują przeważnie bardzo małą orientację w sprawach kultury i oświaty a działalność k-o rozumie się tam powszechnie jako: a) picie kawy, b) organizowanie karnawałowej zabawy, c) kupowanie od czasu do czasu pewnej liczby biletów do kina lub teatru i wręczanie ich pracownikom.

* * *

Z tego całego ogromnego labiryntu, składającego się z nieuzasadnionych obaw, swoistego konserwatyzmu w działalności k-o, sobiepaństwa i źle pojętych ambicji — trudno znaleźć jakieś wyjście. Pewną realną szansą, przynajmniej dla częściowego uzdrowienia stosunków panujących w kulturze, szansą porozumienia i jakiegoś wspólnego działania na rzecz kultury jest inicjatywa Wydziału Kultury Prez. MRN polegająca na projekcie utworzenia federacji klubów i świetlic działających w Lublinie. Podobna federacja — jedyna zresztą w kraju — działa już od sześciu lat w Zielonej Górze. Jak dotąd, z bardzo dobrymi wynikami. Obejmuje też coraz większy obszar całego województwa. Kluby wchodzące w skład federacji podlegają Radzie Klubów wybieranej spośród działaczy i pracowników k-o. Rada taka byłaby komórką koordynującą działalność kulturalno - oświatową, a przede wszystkim powinna się stać neutralnym pomostem między instytucjami a wydziałami kultury.

Trzeba przyznać, że inicjatorzy przedsięwzięcia nie nastawiając się od razu na masowość, zaczynają od małego, swoją pracę podzielili na kilka etapów. Za punkt wyjściowy przyjęto wytypowanie placówek, które pierwsze powinny wejść w skład federacji. Jest ich siedemnaście i już teraz każda wyróżnia się w jakiś sposób działalnością na terenie swojej dzielnicy. Także już teraz przeprowadza się wstępną analizę działalności każdej z tych placówek, bada się możliwości finansowe i lokalowe możliwości rozwoju. Dalszym etapem pracy byłby kurs szkoleniowy dla kierowników wytypowanych klubów.

Tylko, że nie wiadomo jeszcze, jak na to wszystko zareagują instytucje i przedsiębiorstwa, którym kluby podlegają. Gra jest jednak warta świeczki.

---

skie zdjęcie z autografem... Całuję Pana..."

Anna z Kalisza:

„Drogi panie Piotrusiu! Gdy słucha się Pana to przechodzą ciarki, bo sama to odczuwam, gdy tylko usłyszę Pana głos".

Krystyna i Elżbieta ze Szczecina:

„... Uważamy kolegę za bożyszcze polskiej młodzieżowej piosenki. Bardzo prosimy kolegę o podanie nam bliższych informacji o drodze do zdobycia sławy wśród młodzieży, oraz kilka szczegółów ze swego życia".

Marysia z Dąbrówki Wielkiej:

„Miły Piotrze. Nawiązując do artykułów w „Radarze" o Tobie jestem pewna, że conajmniej połowa tego co pisało pod słowami „Kolega Piotruś" było nieprawdą. Nie wierzę już na przykład w to, że nie masz własnej dziewczyny (oczywiście nie wtrącam się w Twoje życie osobiste, o ile tak popularny człowiek może je mieć) i w to że niby „nie masz odwagi by zabrać się do ładnych dziewczyn", w których podobno się kochasz. W ogóle uważam, że słówko: zabrać jest tu bardzo nieodpowiednie".

(P. Szczepanik oświadczył mi, że jego wywiad w „Radarze" był poważnie zniekształcony).

Gabriela z Częstochowy:

„Dzień dobry! Jestem bardzo zdenerwowana i dlatego piszę do Pana. Może się Pan zdziwi: „do mnie, dlaczego?" Prawda, nie znamy się, ale ja z Panem prowadziłam bardzo często długie monologi w myślach, kiedy mi było źle. Wyjaśniam. Dlatego bo: w piosenkach, które Pan śpiewa, jest przynajmniej 99,9 proc. prawdy. Ja nie kłamię, to co się ze mną ostatnio dzieje z pewnością odchodzi od normy. Nie wiem dlaczego, ale umyśliłam sobie że Pan przeżywa to co śpiewa, i że Pan może mnie zrozumie, bo już naprawdę jest mi bardzo ciężko. Jeżeli Pan jest już naprawdę taki jak w swoich piosenkach to przecież musi Pan zrozumieć. Nie wiem dlaczego jest mi źle przecież warunki w domu mam świetne. W szkole koledzy proszą mnie zawsze do kina, filharmonii lub do teatru. Nie idę nigdzie, poprostu nie mogę na nich patrzeć. Dlaczego?... Wszystko jest takie monotonne. Tak bardzo bym chciała, żeby wszystko było dobrze, w porządku. Chciałabym Panu wszystko napisać tak szczerze, ale jednak tego co najważniejsze nie potrafię. Niech Pan tylko powtórzy w myślach wszystkie piosenki napewno będzie Pan wiedział co mi jest. A może ja powinnam iść do psychiatry? Chyba nie wszystko mam w porządku. Ja nie mam pojęcia, żadnego nawet „zielonego" pojęcia, jaka bym chciała być w końcu. Niby taka jak koleżanki, ale jak popatrzę na nie, na ich bezmyślne twarze i przysłucham się o czym one potrafią rozmawiać, to mi się zimno robi; br!... Mam do Pana dwie prośby: 1. Żeby P. J. Miller napisał dla Pana słowa nowej piosenki, takiej wesołej w której wszystko jest dobrze, nikt nie ma zimnych oczu, a Pan ma to wszystko czego Pan chce w piosence „Dzień niepodobny do dnia". 2. Żeby mi Pan odpisał... PS. Zapomniałam Panu napisać, że dobrze znam wartość uczuć i wiem że one są piękne (nie zawsze i nie wszystkie). Proszę policzyć błędy ort. i napisać ile ich było".

Danka z Kamienia Pomorskiego:

„... W sobotę w telewizji zobaczyłam Pana i muszę stwierdzić, że prócz bardzo ładnego głosu ma Pan śliczny uśmiech. Ja zaczynam śpiewać z zespołem który gra w klubie (tu nazwa klubu)... Mam małą prośbę. Urodziny będę miała (tu data). Już 20 lat będzie i bardzo Pana proszę o przysłanie mi zdjęcia z autografem".

Alicja ze Starego Grodkowa:

„Kochany Piotrze. W pierwszych słowach mego listu pozdrawiam Ciebie Piotrze. Czy jesteś zdrowy ba ja zdrowa jestem. Proszę mi przysłać piosenki jakie pan śpiewa. I proszę mi przysłać swoje zdięcie za które Panu będę wdzięczna. Proszę mi napisać jak pan ukończył szkołę podstawową i gdzie pan pojechał żeby zostać piosenkarzem i ile lat pan tam był i w którym roku wystąpił pan na scenie żeby zaśpiewać, bo ja chciałam bym piosenkarkom. Bardzo ładnie śpiewam. Proszę mi odpisać zaraz. To cial narazie kochanie".

Grażyna z Modlina:

„Postanowiłam, że poproszę Pana o zdjęcie i autograf. Ja mam 15 lat. Panną nie jestem, ale mam nadzieję, że prośba moja zostanie załatwiona pozytywnie. Piętnastoletnia dziewczynka".

Barbara z Leszna:

„...Niech Pan nam śpiewa jaknajczęściej tak w radiu jak i w telewizji".

Danka z Rudy Śląskiej:

„Panie Piotrze! Na początku listu pozdrawiam Pana. Bardzo Pana uwielbiam. Ja mam 16 lat, gdy Pan śpiewa „Goniąc kormorany" to ja za Panem szaleję. Pan jest bardzo ładny. Bardzo Pana proszę o Pańskie zdjęcie z autografem. Ja uwielbiam z polskich piosenkarzy tylko Pana".

Elżbieta z Nowego Miasta:

„...Cała nasza rodzina uwielbia Pana, a największymi zwolennikami Pańskich piosenek są: Mama, ja i Kazik".

Barbara z Gdyni:

„... Jeżeli pan pozwoli to na początek zadam panu kilka pytań. 1. Ile pan miał lat jak zaczął pan śpiewać i co pana do tego skłoniło. 2. Co trzeba robić aby śpiewać lub występować na estradzie. 3. Czy to zależy od piękności aby śpiewać, czy też figury, a może od posiadłości talentu. Mam pragnienie aby dostać się do jakiegoś zespołu estradowego".

Krystyna z Warszawy (list anonimowy):

„... Kocham Ciebie Piotrze kocham tak bardzo, że czuję się bezsilna. Po prostu brak mi słów. W zasadzie nic innego nie chce mi się pisać poza: kocham, kocham, kocham... Okazuje się że miłość platoniczna też daje dużą satysfakcję, radość i czy ja wiem. ... Pomyśl za ileś tam lat twój pra pra prawnuk będzie czytać ten list. Chowaj, może być bezcenny. Byleś na „Pingwinie"? Ty też będziesz kiedyś pokazywał wnukom listy i mówił „widzicie jak dziadzia kobiety kochały"...

Ostatni z cytowanych listów zajmuje cztery strony kancelaryjnego papieru. I na nim zakończymy już lekturę korespondencji do Piotra Szczepanika.

Ciał ngrazie, drodzy Czytelnicy!

MAJ

JAN GÓRCZYŃSKI

Erotyk

Ta naiwność zielona
tak cudowna w tobie
lampą rozświetla
nocy uciche echo

Każdy twój uśmiech
znaczy we mnie drogę
gwiazd migotaniem
w ciepłej wyobraźni nieba

Zatrzymuję już na zawsze
dotyk twoich ust
o cierpkim smaku
dojrzewającej moreli

W tobie znajduję spokój
jak ryba na dnie morskim
w cieniu wodorostów
gdy szkwał szaleje
na lustrze
rozbełtanej wody

Morąg

MICHAŁ KORZAN

sekretarka

Joli

schylona nad rzędem klawiszy
smukłością palców
wysnuwa treść liter
zapachem włosów troskliwie
otula plamki słów
aby nie uleciały
nie stały się dźwiękiem
głoszącym pochwałę
jej piersi
szczupłe ciało
wgięte w rytm uderzeń
parabolą młodości łączy
zmęczenie od ósmej do trzeciej
z ogrodem pieszczot
który rozkwita
nocą

Chełm

Debiut

IRENA OSIPOWICZ

Południe

Kula złocista lampa świata
przechyla się gaśnie dlaczego
kula lampa ulicy
zapala się po co
wolę świat w południe
jasny gorący
zapach rozgniecionych kwiatów
ust
wolę południe
kiedy słońce pali
złoty piasek klepsydry rzeki
nogi w wodzie
martwe ryby będą na kolację
kocham południe

Strach

pełznie na klęczkach na
czworakach
wlecze się za tobą zawsze
i powoli
odpędzasz boisz się swego strachu
małpa z błazeńskim uśmiechem
z klatki
stara baba przekupka
nigdy się nie nudzisz
pójdzie z tobą wszędzie
i do ziemi
zostanie będziesz bał się swoich
kości
czaszki z błazeńskim uśmiechem

Białystok

Lublin. Ulica Juliusza Osterwy

Fot. A. Polakowski

„Lubiał liny"?

STEFAN WARCHOŁ

OD zarania dziejów zastanawiano się nad znaczeniem i budową słowotwórczą różnych nazw zarówno miejscowych jak i osobowych. W centrum uwagi znalazły się przede wszystkim nazwy wielkich miast i grodów. Do dziś żywe są w społeczeństwie różne bajeczne etymologie, dotyczące np. Krakowa, Warszawy, Lublina, Sandomierza itp. Nazwy te objaśniano w różnoraki sposób. W związku z nazwą **Lublin** jest aż 7 oddzielnych tłumaczeń. Podobnie przedstawia się sprawa z nazwą Warszawy. Nazwy te tłumaczono kiedyś w sposób dowolny, potoczny, bez uwzględniania danych historycznych i odpowiedniego aparatu naukowego. Chodziło tylko o zrozumiałą dla ogółu treść, by związać daną nazwę i jej powstanie z takimi elementami baśniowymi, które byłyby dla tej nazwy jak najbardziej korzystne oraz jak najlepiej uwypuklały jej bohatersko-legendarny charakter. Takie ludowe etymologie przetrwały dzięki tradycji ustnej całe wieki. Niektóre z nich dostały się również do różnych książek, czasopism itp., i trzeba jeszcze wielu lat, by je wykorzenić i zastąpić etymologią językoznawczą.

Etymologia ludowa nazw miejscowych i osobowych jest cząstką twórczości duchowej ludu i dzięki temu należy też do etnografii, ściślej — do folkloru, zajmując tu jako przedmiot badań miejsce mniej więcej równorzędne obok bajek, legend, baśni ludowych itp. Różnica polega na tym, że etymologia ludowa wiąże się ściśle z chęcią podania jakiejś bajecznej historii wokół danej nazwy, miejscowości lub osoby.

W przeważającej części etymologie ludowe są wymysłem prostego ludu. Wiele z nich znamy tylko z tradycji ustnej, niektóre jednak zostały odnotowane w różnych pracach w odległych czasach. Wystarczy wspomnieć, że np. na temat nazwy **Lublin** snuł już różne fantazje Wincenty Kadłubek, zaś M. Kramer (XVI w.) wyraźnie twierdza, że nazwa **Lublin** pochodzi od założyciela grodu, „co lubiał liny". Tę błędną i wprost fałszywą etymologię o nazwie **Lublin** powtórzono za Kromerem w Kalendarzu Lubelskim z roku 1958 (s. 138), o nazwie **Tyszowce** — w Kalendarzu Lubelskim z roku 1960 (s. 129) itd. Natomiast pełną fantazji opowieść o powstaniu i pochodzeniu nazwy **Krasnystaw** podano w roku 1963 w „Kulturze i Życiu" (Nr 43 — 557, rok XII), tygodniowym dodatku „Sztandaru Ludu". Jak z analizy językoznawczej wynika, wymienione wyżej nazwy tłumaczą się dość jasno. Otóż nazwa **Lublin** pochodzi od staropolskiego, dziś już nie używanego imienia męskiego **Lubla** z dołączonym do niego przyrostkiem dzierżawczym -in. Przypomina więc ona takie niedawno powstałe na Lubelszczyźnie nazwy miejscowe, jak np. Felin, Stasin itp. Nazwę **Tyszowce**, którą etymologia ludowa wiąże z określeniem „tu szewce", zaliczamy do grupy nazw patronicznych, w której podstawą słowotwórczą jest staroruskie imię męskie **Tyś** (odpowiednik polskiego **Cisz-**, stąd **Ciszek**), przyrostkiem zaś cząstka **-owce**. Nazwa **Krasnystaw** jest nazwą o charakterze topograficznym, powstałą na oznaczenie malowniczego położenia grodu nad Wieprzem przy stawie itd.

Głównym powodem przekręcenia danej nazwy i powstawania etymologii ludowych, jest przede wszystkim nierozumienie jej podstawy słowotwórczej. Taką niejasną podstawę mają głównie te nazwy, które powstały w czasach bardzo odległych i nie posiadają o swoich początkach odpowiednich przekazów źródłowych lub też są pod względem strukturalnym całkiem odosobnione (jak np. **Szczebrzeszyn**). Etymologia ludowa wiąże się przede wszystkim z nazwami własnymi. Jak wiadomo np. nazwa **Sandomierz** pochodzi od staropolskiego imienia męskiego Sędomir w zapisach średniowiecznych oddawanego w postaci Sandomir, Sadomir itp. Jest to więc nazwa dzierżawcza, podobnie jak Poznań, Wrocław itd. Etymologia ludowa natomiast wiąże tę nazwę ze słowami: „San domierza do Wisły". Jak więc widać, w okresie późniejszym, kiedy imię Sędomir wyszło z użycia, pochodzenie nazwy Sandomierz zaczęto kojarzyć nie z tym właśnie imieniem lecz z pobliską rzeką Sanem. Zresztą jeszcze w roku 1957 z okazji dożynek podano uroczyście przez radio warszawskie, że nazwa **Warszawa** pochodzi rzekomo od nazwy „szuwaru", którym w pradziejach porośnięty był teren nadwiślańskiego grodu. Niejednokrotnie też podkreślano, że nazwa **Warszawa** wzięła początek od imion bliźniąt „Wara i Sawy" lub od zawołania przejeżdżających Wisłą flisaków: „Warsz Ewa", co jednocześnie łączono z dawnym brzmieniem tej nazwy w postaci **Warszawa** itd. Jak wykazał prof. J. Rozwadowski nazwa **Warszawa** pochodzi od imienia męskiego **Warsz** z dodaniem przy-

(Dokończenie ze str. 11)

ZABYTKI I RUINY

(Dokończenie ze str. 5)

1961 r. resort kultury wydał na konserwację zabytków Kielecczyzny ok. 3 mln zł. Użytkownicy dali wtedy 2 mln złotych. Wówczas dobre było i to. Ale już w ubiegłym roku kultura dała 6 mln zł, a wszyscy użytkownicy około 10 milionów.

A więc można przyjąć taką formę: dalej gromadzić środki z budżetu centralnego i terenowego — dla prowadzenia kompleksowych konserwacji najcenniejszych obiektów, a koszty konserwacji bieżącej i remontów niechby ponosili użytkownicy.

Jest w Krakowie oddział PP Pracowni Konserwacji Zabytków. Są w nim specjaliści, obsługują 4 województwa, z kieleckim włącznie. Nic też dziwnego, że oddział ma już za „krótkie ręce", może rocznie „przerobić" dla kieleckich zabytków 3—4 mln zł, co jest, niestety drobiazgiem w stosunku do potrzeb. I dlatego czas już stworzyć u nas terenowy pododdział, wszystko jedno jak to nazwiemy — krakowskiej Pracowni. Z zapewnieniem mu odpowiedniego zaopatrzenia.

Wydział Kultury Prez. WRN słusznie też uważa, i o to się stara, aby powołani zostali powiatowi konserwatorzy zabytków, którzy byliby odpowiedzialni za tworzenie racjonalnych planów ochrony zabytków w oparciu o, często jeszcze nieznane możliwości samych powiatów. Wojewódzki konserwator nie za wiele tu zdziała. W powiatach lepiej wiedzą, co mają, jakie zabytki konserwować wcześniej, jakie później.

• • •

Ostatnio w Kieleckiem przeprowadzona została weryfikacja i klasyfikacja zabytków architektury i budownictwa. Znalazło się 1455 różnych obiektów.

Sześć z nich otrzymało miano najwybitniejszych w skali światowej, 83 — wybitnych w skali krajowej, 263 — reprezentatywnych dla regionu i tak dalej. Własność państwową stanowią 334 obiekty, z czego: 75 obiektów użytkuje resort rolnictwa i leśnictwa, 74 — gospodarka komunalna i administracyjna, 27 — przemysł i handel, 66 — kultura i oświata, 22 — zdrowie i opieka społeczna i tylko 3 obiekty — turystyka.

Wystarczająco zamożni są ci użytkownicy zabytków. Tymczasem rzeczywistość przeczy i pokazuje, że nie wszyscy są dobrymi opiekunami i mecenasami zabytków. Tylko bowiem połowa obiektów jest w stanie, który uznać można za dobry.

• • •

Znalazł się w Kielcach ktoś mądry, kto pomyślał: budowa nowego obiektu dla tej czy innej instytucji jest rzecz prosta, droższa, niż adaptacja starego, nawet jeśli to zabytek. I często oszczędności są tutaj bardzo duże. Oto mamy już sporo ciekawych wyników.

Resort zdrowia przystosował na Dom Specjalny dla Dzieci — renesansowy dwór w Gnojnie (pow. staszowski). Klasycystyczny pawilon parkowy z początku XIX wieku, tzw. Świątynia Grecka i Oranżeria Egipska w Końskich służy potrzebom Powiatowego Domu Kultury. Późnobarokowy pałac w Grabkach Dużych w pow. staszowskim zajęła administracja POM.

Znaleźli się też dalsi nowi gospodarze. W pałacu w Wiśniowej będzie szkoła, w chęcińskiej synagodze kino, tamże w cennym zespole gotyckim dom turysty, a w późnobarokowym pałacu w Czyżowie Szlacheckim, pow. sandomierski, „stanęła" Nadwiślańska Hodowla Roślin, z zamiarem odbudowania go i przeznaczenia na cele szkoleniowo-wypoczynkowe.

• • •

Niestety — dzisiejsza geografia uprzemysłowienia i aktywizacji gospodarczej Kielecczyzny nie zawsze pokrywa się z geografią zabytków. To dobrze, że skarb z neolitu, Krzemionki, znajdują się pod nosem ostrowieckiej huty — finansowego potentata, który nigdy nie omieszka odsypać coś tam grosza na ich urządzenie dla turystycznego użytku. To dobrze, że w urządzeniu częstockiego muzeum pomaga, i huta i cukrownia, że zabytki Kielc, Radomia, Końskich w razie potrzeby mogą suplikować do bogatych zakładów o pomoc.

Ale jakiego mecenasa, użytkownika i opiekuna znaleźć może dworek na wsi, czy w małym miasteczku? Jedynie tylko — „ten pierwszy" — resort kultury, ewentualnie opieki społecznej, ewentualnie turystyki. Ale tutaj powinny wystąpić rady narodowe, ich wydziały, z wymienionymi wyżej, na czele.

• • •

Wiślica, Chęciny, „Polskie Carcasonne" — Szydłów, Bodzentyn — miasteczka te mogłyby stać się perłami polskiej na świat cały głośnej turystyki, łącząc w sobie bezcenne wartości zabytków z niezwykłymi walorami krajobrazowymi. Tyle w Kieleckiem mówimy o aktywizacji małych miasteczek. To dla nas sprawa pierwsza w społecznym działaniu, tak jak do niedawna taką pierwszą sprawą były drogi.

Czymże jednak aktywizować te miasta — krasnoludki, jeśli nie turystycznym eksponowaniem cennych zabytków przeszłości. Robi się w tych sprawach bardzo wiele, ale ciągle jest to za mało. Opieka państwowa nad nimi nie osiągnie nigdy swego celu, jeśli nie wesprze jej inicjatywa społeczna. Ona musi być powszechna!

Tadeusz Bartosz

Dwóch w jednym łóżku

(Dokończenie ze str. 5)

stawiliśmy słupy zabezpieczające, przynajmniej na pewien czas wystarczy. Ale co dalej?

•

Najpierw mieszkali tu paulini, potem norbertanki, a teraz leżą chorzy. Klasztor wybudowano w r. 1577 na zlecenie biskupa Myszkowskiego. Dziś dr Leszek Myszkowski (to tylko przypadkowa zbieżność nazwisk) — dyrektor Szpitala Powiatowego i specjalista chirurg w jednej osobie — oprowadza mnie po dawnych celach i klasztornych refektarzach, mówiąc:

— *Tu zrobimy operacyjną, tu będzie izba przyjęć, tu sale chorych...*

Kroczymy w zupełnym mroku, wśród zwałów gruzu, cebrzyków *z wapnem i rozrzuconych desek.*

W pińczowskim szpitalu trwa remont kapitalny. Jeden budynek jest już gotowy, obecnie remontuje się drugi. Grubych murów nie da się wprawdzie zmienić, ale można założyć centralne ogrzewanie, unowocześnić pomieszczenia, stworzyć lepsze warunki pacjentom i personelowi.

Dr Myszkowski twierdzi, że *„lepszy wróbel w garści"* — lepiej robić teraz remont kapitalny za 2 mln zł niż czekać na nowy szpital za 50 mln zł. Przyznaję mu rację, ale wiem, że dr Myszkowski jest „szczęściarzem". Bo z pieniędzmi na remonty bieżące i kapitalne w szpitalach krucho. Miałam niedawno w rękach szczegółową analizę działalności szpitali powiatowych, przygotowaną przez Ministerstwo Zdrowia i Opieki Społecznej dla Sejmowej Komisji Zdrowia. Znalazły się w niej stwierdzenia, mówiące, iż: (cytuję z pamięci).

„Środki na remonty kapitalne szpitali powiatowych są niewspółmiernie niskie w stosunku do potrzeb. Jeśli w najbliższym czasie nie zostaną przynajmniej podwojone, trzeba będzie zamknąć część szpitali powiatowych, bądź ich oddziałów. Deficyt miejsc powiększy się".

Sytuacja — wypisz wymaluj — Kielecczyzny. Na remonty kapitalne idzie 15 mln zł rocznie — potrzeba dwa razy więcej. A skoro dodamy trudności, związane ze znalezieniem odpowiednich wykonawców — przedsiębiorstw budowlanych, które podejmą się prac remontowych — będziemy mieli obraz całości. Prawdę mówiąc — niezbyt optymistyczny.

•

Zgodnie z wytycznymi, przewidującymi pięcioletni cykl budowy tego typu obiektów, Szpital Wojewódzki w Kielcach powinien być gotowy w r. 1963.

Projekt zatwierdzono w r. 1959. W kwietniu 1959 r. rozpoczęto prace, związane z przygotowaniem zaplecza.

Jest rok 1966, a końca budowy nie widać. Koszty, określane pierwotnie na 82 mln zł, wzrosły do około 100 mln zł. Trudno w tym miejscu przytaczać szczegółowy rejestr przyczyn, które doprowadziły do takiego stanu rzeczy. Pokrótce: niezbyt udany, przestarzały projekt, rodem z r. 1952, który trzeba było adaptować i przerabiać tak dalece, że kielecki „Miastoprojekt" jeszcze do dziś dnia nie przekazał pełnej dokumentacji (np. na pralnię, hydrofornię, studnie, zapasowe zbiorniki wody, centralę telefoniczną itp.). Zmiany w zakresie rzeczowym robót na skutek zwiększenia liczby łóżek: z pierwotnie przewidywanych 367 do 554. A — poza wszystkim — ślimacze tempo robót.

Szpital wznosi Kieleckie Przedsiębiorstwo Budownictwa Mieszkaniowego; są także podwykonawcy — z Kielc, Łodzi i Rzeszowa. Nie mogę się w tym miejscu powstrzymać od zacytowania charakterystycznego obrazka. Gdy wraz z inż. Sochą, inspektorem nadzoru z kieleckiej Miejskiej DBOR, oglądałam nowo wznoszony szpital, przyłączył się do nas kierownik budowy.

— Ilu macie dzisiaj ludzi? — spytał inż. Socha.

— O, *dzisiaj jest ich dużo* — padła odpowiedź — *chyba ze 30...*

30 ludzi przy budowie obiektu, którego kubatura ma wynieść 91 tys. m sześć! Zestawienie tych dwóch liczb jest wymowne. Tym bardziej, że inż. Socha w ciągu jednego tylko roku (1965) aż trzynaście razy interweniował w sprawie tempa robót. Bywały bowiem dni, gdy na budowie szpitala zjawiało się... 3—4 robotników. Bywały też i takie, że nie przychodził nikt. Tak działo się np. w lecie (szkoły!) czy pod koniec roku (trzeba nadrabiać opóźnienia w budownictwie mieszkaniowym; premia itp., więc kto będzie myślał o szpitalu, którego budowa wlecze się w nieskończoność i żadnych z tego tytułu korzyści?).

Szpital Wojewódzki w Kielcach jest jeszcze jednym potwierdzeniem, że budownictwo służby zdrowia jako trudne, żmudne i niewdzięczne dla wykonawców spycha się z reguły na ostatni plan i że problem ten wymaga jakichś generalnych, usprawniających posunięć — już w skali całego kraju.

•

Nie ma gorszego na Kielecczyźnie obiektu lecznictwa zamkniętego nad szpital w Chmielniku. No, ale ten, choć dawno powinien być już zamknięty, przeżywa wreszcie ostatnie miesiące swego istnienia. Mieszkańcy okolicy doczekają się wreszcie pięknego, nowoczesnego szpitala w Busku, dysponującego 400 miejscami. Poza Buskiem kończy się budowę szpitala w Radomiu i w br. uruchomi w całości szpital w Opocznie.

Wszystko to zwiększy co prawda stan posiadania kieleckiego wojewódzkiego lecznictwa zamkniętego, lecz nie zaspokoi — nawet najpilniejszych — potrzeb. Już teraz — by przynajmniej dogonić krajowy wskaźnik liczby łóżek, przypadających na 1000 mieszkańców — trzeba na Kielecczyźnie budować dwa razy więcej nowych szpitali.

Zamiast — w pierwszej kolejności — zainwestować środki w budowę kilku nowych szpitali powiatowych na najbardziej ich potrzebujących terenach, pozostawiono te sprawy własnemu losowi, natomiast zaangażowano się w długotrwałą budowę Szpitala Wojewódzkiego. Efekt — 100 mln zł kosztów, a końca budowy dotąd nie widać. Plany mówią o oddaniu go do użytku w r. 1967, lecz już teraz wiadomo, że i te okażą się z pewnością mało realne. Tak naprawdę, to można mówić o latach 1968—1969.

Jednak — stało się. Szpital Wojewódzki w Kielcach jest rzeczą przesądzoną. Trzeba więc robić wszystko, by nie dopuścić do dalszego wzrostu kosztów budowy; wszystko też — aby przyspieszyć jej ślimacze tempo.

Dopóki ten obiekt nie zostanie ukończony, dopóty trudno mówić o rozpoczynaniu nowych inwestycji w województwie.

Danuta Majewska

Moi nauczyciele

KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI

A WIĘC od września rozpocząłem naukę w rządowym gimnazjum rosyjskim. Jakże różniło się ono od Szkoły Lubelskiej!

Uczniów obowiązywał surowy rygor, a regulamin zachowania się w szkole i poza nią, zamieszczony w dzienniku każdego ucznia tuż po wyliczeniu tytułów i imion członków rodziny panującej („Carstwujuszczij dom" — cesarz, cesarzowa, cesarzowa-matka i cesarzewicz — następca tronu), a zatwierdzony przez ministra oświaty w 1874 roku — a więc przed trzydziestu czterema laty! — wciąż pozostawał niezmienny. Do obowiązków ucznia — poza pilnością w nauce — należało uczęszczanie na nabożeństwa szkolne w niedzielę i święta, doroczna spowiedź sprawdzana za pomocą odpowiednich kartek, szacunek wobec przełożonych, posłuszeństwo i karność. Wstęp do klubów, sal bilardowych, kawiarni, cukierni i restauracji był wzbroniony, a do teatru, cyrku, iluzjonu i na wszelkie widowiska można było uczęszczać jedynie za specjalnym zezwoleniem dyrektora, i to w wyjątkowych wypadkach, w towarzystwie rodziców czy opiekunów. Ba, nie wolno było chodzić nawet na dworzec kolejowy, a w teatrze czy cyrku oklaskiwać artystów.

Niektóre zakazy nie uwzględnione w regulaminie miały charakter lokalny i były różne w różnych miastach. Tak więc spacerować i przebywać na ulicach w naszym mieście uczniowie mogli latem do godziny ósmej wieczorem, a zimą — do szóstej. Kto przekroczył ten czas i został przyłapany przez pedla, umyślnie tropiącego takie przewinienia, tego nazajutrz czekała w najlepszym razie godzina karceru po lekcjach albo i naganą wychowawcy klasowego wciągnięta do dziennika („wygowor klassnogo nastawnika"), pociągająca za sobą obniżenie stopnia ze sprawowania.

Specjalnie irytujące dla nas było określanie uczniów Polaków mianem katolików (stale używano tego eufemizmu, nie mówiono o nas: Polacy) i zakaz rozmawiania w murach gimnazjalnych po polsku, zakaz dyplomatycznie pominięty w regulaminie, ale często nam przypominany. Nie stosowaliśmy się do niego nigdy, a władze szkolne albo udawały, że nie słyszą, albo nie wyciągając ostrzejszych konsekwencji ograniczały się do upomnienia: „w gimnazii nielzia razgowariwat' na polskom jazykie" [1]).

Przed pierwszą i po ostatniej lekcji któryś z uczniów prawosławnych odmawiał modlitwę po rosyjsku. Polskiej — używaliśmy tylko przed lekcją religii i po niej. Zacny ksiądz prefekt Sonne uśmiechał się lekko, gdy wtedy opuszczaliśmy w tekście wyraz „monarcha" (...Błogosław monarsze, rodzicom i przełożonym naszym..."). A w ogóle należy stwierdzić, że z czterech tekstów modlitw szkolnych zamieszczonych w naszym dzienniku (dla wyznania prawosławnego, rzymsko-katolickiego, ewangelicko-augsburskiego i ewangelicko-reformowanego) — tekst polski był zredagowany najprawomyślniej i najbardziej wiernopoddańczo, bo w innych „monarcha" nie występował.

Uczniowskiego dziennika szkolnego o formacie zeszytowym w zielonej kartonowej okładce nie należy mieszać z dużym dziennikiem, który nauczyciel trzymał pod pachą wchodząc do klasy i z którego odczytywał listę uczniów. Nasze dzienniki, raczej dzienniczki, służyły do zapisywania w nich lekcji zadanych z każdego przedmiotu na odpowiedni dzień tygodnia i pośredniczyły niejako między szkołą a domem rodzicielskim. Opiekun klasowy zbierał je od nas w sobotę, aby wciągnąć do każdego w odpowiedniej rubryce danego przedmiotu stopnie z ustnych czy pisemnych odpowiedzi figurujące w tym dużym dzienniku nauczycielskim. Stamtąd też wpisywano do naszych — zielonych uwagi wychowawcy dotyczące ewentualnych wykroczeń i odbytych za nie kar. Rodzice czy opiekunowie uczniów, którym w poniedziałek zwracano wypełnione dzienniczki, musieli w odpowiednim miejscu złożyć swój podpis, jako dowód, że zaznajomili się z owocami tygodniowej pracy chłopców. Może to nie było złe: rodzice częściej niż dziś na tak zwanych wywiadówkach otrzymywali informacje o postępach i zachowaniu dzieci, ale z drugiej strony informacje te miały charakter oficjalny i nie wiązały się z bezpośrednią rozmową ojca czy matki z nauczycielem, który by mógł udzielić jakichś wskazówek. W ogóle kontakt między domem rodzicielskim a szkołą prawie nie istniał.

Dyrektorem gimnazjum był w tym czasie niski, czerniawy — Aleksandrowski, a inspektorem — wysoki Wołkow, który miał zwyczaj monitować urwisów zapytaniem: „Czym wy się różnicie od ulicznikow?" — na które sam zdecydowanie odpowiadał: „Niczym!" Po roku, Aleksandrowskiego, który nie utrwalił się w mojej pamięci, zastąpił Piaksin. Mały, czarnobrody uczył algebry a w trzeciej i czwartej klasie był moim wychowawcą. Inspektorem zaś został niesympatyczny Biekarewicz, który przybył do nas z Instytutu Maryjskiego, gdzie za niefortunne zalecanki dostał kaloszem po głowie od jakiejś bojowej uczennicy, za co otrzymał przydomek „bity". Nie lubiliśmy go, ponieważ rywalizował z pedelem w łapaniu nas na ulicy po godzinie szóstej wieczorem. Gdy wychodził ze szkoły, z okien różnych klas ścigało go chóralne wycie: „Bityj! Bityj!" Udawał, że nie słyszy albo że się to nie odnosi do niego. Ciesząc się takim autorytetem po roku musiał ustąpić. Zmienił go inspektor Barylowicz, który już pozostał do końca mojego pobytu w chełmskim gimnazjum. Wysoki, rudowąsy odnosił się do uczniów zupełnie inaczej niż surowy Wołkow czy tchórzliwy i krzykiem nadrabiający miną Biekarewicz — był na ogół przyzwoity i sprawiedliwy.

Wychowawcą naszej pierwszej klasy był Dańszyn, nauczyciel rysunków i kaligrafii, malarz, którego olbrzymi portret Piotra I zdobił ścianę sali gimnastycznej obok nie mniej wielkich litografowanych portretów innych monarchów od Katarzyny II do ówczesnego Mikołaja. Jego dziełem również była kurtyna oddzielająca małą scenę od tejże sali, która w razie potrzeby służyła za widownię, a przedstawiająca jakiś arkadyjski motyw z pasterzami na tle świątyni greckiej. Lekcje Dańszyna, na których rysowaliśmy różne bryły geometryczne na podstawie stawianych na katedrze modeli, były dla nas wytchnieniem: nie groziło nam niespodziane wyrwanie do odpowiedzi, można było szeptem rozmawiać ćwicząc się w osiąganiu wątpliwych wartości plastycznych. Spokojny, ale i obojętny na lekcjach, nauczyciel ani sam prochu nie wymyślił, ani w nas nie potrafił zaszczepić zamiłowań artystycznych. Tolerowaliśmy się wzajemnie, zadowoleni — my, że na jego lekcjach możemy się odprężyć, on — że się nie potrzebuje wysilać.

Arytmetyki w pierwszej klasie uczył Borucki. Nie korzystał z katedry, stał oparty o piec przez cały czas lekcji. Niczym się w mojej pamięci nie zaznaczył, inaczej niż jego następca, z którym miałem do czynienia od drugiej do siódmej klasy, a któremu zawdzięczam jedyną dwóję (z klasówki) jedyną, jaką w ogóle otrzymałem przez cały czas pobytu w gimnazjum: arytmetyka, algebra, geometria, wreszcie trygonometria — to wszystko mi się kojarzy z rudowąsym chyba czterdziestoletnim Łomakowskim, który przybył podobno aż z Czyty, lubił popić, miał kołyszący się chód marynarza i widocznie za swe podkręcone do góry wąsy otrzymał od nas przezwisko „Parikmachiera" — „Fryzjera". Nie znosił zwrotu „gospodin uczitiel", każąc się nazywać Nikołajem Iwanowiczem. Nie lubiliśmy go i baliśmy się jego surowości. Oceniał nas ostro, a sam nieraz plątał się, zawile tłumacząc przy tablicy jakiś teoremat geometryczny czy pomagając uczniowi rozwiązywać zadanie. Denerwował się wtedy, czerwienił i opuszczając klasę po dzwonku kazał nam w domu „podumat' nad rieszenijem etoj zadaczi" [2]). Pamiętam, jak kiedyś opuszczając klasę nie starł tablicy na której pozostało zadanie nastręczające mu trudności. W chwilę później z sąsiedniej klasy wychodził drugi matematyk — Zubowski (nazywaliśmy go „13 zubow" — „13 zębów", bo litera B jego imienia w podpisie wyglądała jak ta liczba, a „ski" z nazwiska zastępował zygzak). Poprosiliśmy go, aby nam pomógł rozwiązać zadanie, z którym odpowiadający uczeń (dyplomatyczny eufemizm) nie mógł sobie dać rady. Zubowski spojrzał na tablicę, momentalnie wykonał na niej kilka działań i powiedział: „Oto rezultat. Zadanie całkiem łatwe". Porównaliśmy z odpowiedzią w podręczniku — zgadzała się. A Zubowski, uśmiechając się pod nosem, bo doskonale zdawał sobie sprawę z kłopotliwej sytuacji kolegi, żartobliwie powiedział: „Oj, chłopcy, chłopcy!".

Łomakowskiego baliśmy się, choć otrzymywałem od niego czwórki i piątki, ale jeszcze bardziej Wiaczesława Nikołajewicza Barsowa, który uczył historii Rosji i języka rosyjskiego. Już sam niechlujny jego wygląd, gruby nochal i podejrzliwie zerkające zza okularów oczy, nie wzbudzały sympatii. Ale najgorsze były jego paroksyzmy wściekłości, w którą łatwo wpadał pod wpływem jakiegoś figla uczniowskiego albo złej odpowiedzi. W takich chwilach cisza, jak makiem zasiał, zapanowywała w klasie, uczniowie kurczyli się i chowali jeden za drugiego, aby nie wpaść w oko rozsrożonego belfra, który nerwowo kręcił guziki przy mundurze, głaskał się po brzuchu i wykrzykiwał pod adresem delikwenta: „Itti w ugoł, skwiernyj malcziszka, tiebie ulicy podmietat'!" [3]) Nieraz kilku chłopców garnirowało ścianę symbolizującą kąty, których już zabrakło. Gorzej było, kiedy rozległ się okrzyk: „Won iz klassa!" [4]), bo na korytarzu można się było natknąć na dyrektora lub inspektora. Niepoprawnym łobuzem w klasie, doprowadzającym Barsowa do szału, był kolega zwany przez nas Siuńką, dziś popularny w Polsce pianista i akompaniator — Sergiusz Nadgryzowski. Ale Wiaczesław Iwanowicz potrafił odnosić się do chłopców zupełnie inaczej, zwłaszcza do tych dziesięcio — jedenastoletnich. Nieraz widziało się go, jak wychodził po dzwonku z klasy otoczony gromadą malców, których lubił głaskać po twarzy i po włosach, co bynajmniej nie miało charakteru ojcowskiego. Sam słyszałem, jak w drugiej czy trzeciej klasie mówił do jednego z uczniów: „Ty uże nie choroszeńkij, ty uże bolszoj!" [5])

Barsow nie potrafił nam zaszczepić zamiłowania do wykładanych przedmiotów: historia Rosji — wiadomo, tendencyjnie przedstawiona, Polacy jej nienawidzili, ale i Rosjan nie interesowała: paznokciowa metoda — stąd dotąd doprowadzała tylko do mechanicznego odbębniania przy odpowiedzi zadanego pensum. Piękno literatury rosyjskiej mimo licznie wkuwanych na pamięć wierszy było przed nami zamknięte. Żaden nauczyciel, ani Barsow, ani Kościelski, o którym za chwilę będzie mowa, nie próbował nawet za pomocą odpowiedniej analizy odsłonić przed nami artyzmu tego czy innego utworu, trafności czy oryginalności metafory lub porównania. Chodziło tylko o to, aby bezbłędnie w stosunku do tekstu i akcentowania przyswoić sobie ten czy inny utwór na pamięć, a że go się wygłaszało przed nauczycielem bezdusznie i katarynkowo, na to nikt nie zwracał uwagi. Czyż przypuszczałem, z niechęcią i przymusem wkuwając nudne wtedy dla mnie zwrotki Lermontowa, że po ćwierćwieczu oczarują mnie do tego stopnia, że będę usiłował oddać ich piękno w polskim języku!

Władimir Romanowicz Kostielski (Kościelski!) był renegatem, który dla kariery przyjął prawosławie. Po zdyszkaniu przez Polskę niepodległości, spotykałem w Chełmie jego stryja Polaka, pracującego na kolei, który nie przyznawał się do bratanka, w towarzystwie nieodstępnego przyjaciela i chyba rówieśnika. Panowie Kościelski i Lipiński (obaj wdowcy czy kawalerowie) mieszkali razem i byli nierozłącznymi towarzyszami. Gdy jeden z nich zmarł, drugi wystawił mu pomnik, i często odwiedzał grób przyjaciela, obok którego sam wkrótce spoczął. Otóż nasz Kościelski, który się wyrzekł polskości, wykładał historię powszechną i język rosyjski. Akcentował aż nadto wyraźnie swoją lojalność i wykazując ignorancję pozwalał sobie na drwiny z ojczystego języka. Kiedyś na lekcji (było to już w starszej klasie) zaczął się wyśmiewać z polskiego wyrazu „pokój", dowodząc, że to „jerunda" [6]), że taki np. Sienkiewicz w swych historycznych powieściach woli używać starego wyrazu słowiańskiego — „komnata", identycznego z odpowiednim słowem rosyjskim. „Ależ ten Kościelski — mówiłem po lekcji do kolegów — to skończony dureń: przecież z całą pewnością spotkałem się w jakiejś rosyjskiej książce z wyrażeniem — carstwiennyje pokoi —" [7]) i ten wykpiwany przez niego wyraz brzmi w takim wypadku uroczyściej niż zwykła „komnata". A w polskim na odwrót: pokój — zwykłego śmiertelnika, a komnata — królewska".

Kiedyś, po południu, grałem w bramie naszego domu w popularną wówczas „kiezkę" i ze zdziwieniem ujrzałem stojącego przy mnie Kościelskiego. Zapytał mnie po rosyjsku, czy doktor jest w domu i czy przyjmuje teraz pacjentów. A później ojciec mi opowiadał, że renegat rozmawiał z nim najczystszą polszczyzną.

Geografii przez rok uczył Szramczenko ze zwieszającymi się na modłę ukraińską długimi wąsami, który głoskę „g" w wyrazach rosyjskich wymawiał z przydechem jako „h". Niemieckiego — Alfred Dawidowicz Geicke, dorpaczanin, który owdowiawszy, godzinami zapijał swą samotność w restauracji. Pielęgnował wąsy i bródkę i kiedyś (było to w trzeciej czy czwartej klasie) nie poznałem go zupełnie, gdy wszedł do klasy ogolony do tego stopnia, że nawet nie miał brwi. Był to złośliwy żart jego kolegów, którzy skorzystawszy z libacji 20 jakiegoś miesiąca (stały dzień wypłaty pensji w urzędach rosyjskich) oporządzili w ten sposób twarz nieprzytomnego Niemca. Nie tylko ja byłem zaskoczony: wielu uczniów myślało, że przydzielono nam jakiegoś nowego belfra.

Trudno tu wymienić wszystkich nauczycieli, którzy przewinęli się w czasie mojego pobytu w gimnazjum chełmskim. Wspominam tylko najbardziej charakterystycznych, z jakichś względów zasługujących na uwagę i wyróżniających się z szarego tłumu przeważnie brodaczy w mundurach. O niektórych, co przybyli do szkoły dopiero w latach późniejszych, wspomnę w dalszych rozdziałach. Tutaj muszę się jeszcze zatrzymać na Czefranowie, do którego odnosiłem się z prawdziwym szacunkiem i którego lekcje bardzo lubiłem. Poważny, rzadko uśmiechnięty, trzydziestoletni przyrodnik kochał i znał swój przedmiot, świetnie wykładał i tłumaczył, miał jakieś profesorskie wzięcie i odnosił się do nas może zbyt poważnie, jak byśmy byli nie uczniami gimnazjum, ale studentami uniwersytetu. To się nam jednak podobało. Na lekcjach jego panowała absolutna cisza, umiał nie tylko zainteresować doskonałym wykładem, ale i zachęcić nas do kolekcjonowania w pierwszej klasie minerałów, a w drugiej do zbierania roślin w zielniku. W parę lat później ten poważny profesor zafrapował nas tym, że się ożenił ze swoją uczennicą z Instytutu Maryjskiego. A po roku mogliśmy widzieć, jak idzie z młodziutką żoną prowadząc wózek z dzieckiem. Nie stracił przez to na autorytecie, choć w moich oczach zstąpił nieco z piedestału, na którym go umieściłem.

Religia była jedynym przedmiotem, prowadzonym dla nas — katolików — w języku polskim przez sympatycznego i serdecznie lubianego przez nas ks. Stanisława Sonnego. Wspomniałem już o nim jako o jednym z bywających u nas gości jeszcze w moim okresie przedgimnazjalnym. Jak swobodnie czuliśmy się na tej lekcji mogąc śmiało i głośno rozmawiać z prefektem po polsku i korzystać z jego uwag dotyczących nie tyle zasad wiary i historii kościoła, ile poprawności naszej polszczyzny! W gimnazjum chełmskim (drugim w Królestwie pod tym względem obok pierwszego, warszawskiego) nie wykładano języka polskiego; przedmiot ten nie istniał nawet jako ten nadobowiązkowy kopciuszek, ledwo tolerowany przez władze rosyjskie i spychany w rozkładzie lekcji na ostatnią godzinę. Nie wszyscy rodzice mogli sobie pozwolić na opłacanie prywatnych nauczycieli ojczystego języka dla swoich dzieci, a z tych, co mogli, wielu lekceważyło niebezpieczeństwo rusyfikacji. Ksiądz Sonne starał się temu zaradzić w miarę swoich skromnych możliwości. Tępił więc częste u niektórych uczniów rusycyzmy i nawet posuwał się do takiego zuchwalstwa, że w okresie działalności polakożerczego Eulogiusza i tworzenia chełmskiej guberni — zadawał nam domowe wypracowania na tematy niby związane z religią (np. „jak rozumiem piąte przykazanie boskie: nie zabijaj!"), a w rzeczywistości mające na celu wyrobienie w nas umiejętności poprawnego wypisywania się w języku ojczystym. Ksiądz Stanisław nie znał innego stopnia niż piątka, którą otrzymywali zarówno ci, co sumiennie przygotowywali lekcje, jak i notoryczni lenie. Anielsko cierpliwy, na wybryki łobuzów miał tylko jeden monit: „siedź spokojnie!" Lubiliśmy, kiedy nam opowiadał o Wiedniu, Genewie, Rzymie, zabytkach chrześcijańskich, bo miał zwyczaj spędzania wakacji za granicą i każdego roku wyjeżdżał gdzie indziej. Tak wierzył ludziom, — nie wiem, czy się kiedy nie zawiódł, — że wychodząc z wikarówki, gdzie mieszkał, nie zamykał na klucz drzwi do swojego pokoju.

Fragment przygotowywanej do druku książki „Wywoływanie duchów".

---

1) W gimnazjum nie wolno rozmawiać po polsku.
2) Pomyśleć w domu nad rozwiązaniem tego zadania.
3) Marsz do kąta, zły chłopaku, powinieneś ulice zamiatać!
4) Precz z klasy!
5) Ty nie jesteś już taki, jesteś już duży!
6) Bzdura, nonsens.
7) Komnaty cesarskie.

KSIĄŻKI NADESŁANE

„PIW"

Stanisław Wygodzki — Basy, Warszawa, 1965 r. wydanie pierwsze;

Jurij Trifonow — Pragnienie, przełożyła Wiera Bieńkowska, Warszawa 1965, wydanie pierwsze;

Iraklij Andronikow — Opowiem Wam... przełożył i słowem wstępnym opatrzył Rene Śliwowski, Warszawa 1965, wydanie pierwsze;

Seweryna Szmaglewska — Krzyk wiatru, Warszawa 1965, wydanie pierwsze;

Jurij Bondariew — Dwoje (KIK), przełożyła Wacława Komarnicka, Warszawa 1965, wydanie pierwsze;

Guillermo Cabrera Infante — Odpływająca fala — opowiadania, przełożyła Zofia Chądzyńska, przedmowę napisał Julian Goytisolo, Warszawa 1965, wydanie pierwsze;

Jean Giradoux, — Bella, przełożyła Maria Kuncewiczowa, Warszawa 1965, wydanie pierwsze;

Joseph Conrad — Ze wspomnień, przełożyła Aniela Zagórska, Warszawa 1965, wydanie pierwsze;

Jurij Bondariew — Cisza, przełożyła Irena Piotrowska, Warszawa 1965, wydanie drugie;

Włodzimierz Ługowskoj — Pieśń o wichrze, wiersze, wybrał Jerzy Litwiniuk, Warszawa 1965, wydanie pierwsze;

Ewa A. Krzyżanowska — Rozdzierająca pogoda, wiersze, Warszawa 1965, wydanie pierwsze;

Jerzy Szczygieł — Dopalające się drzewa, powieść, Warszawa 1965, wydanie pierwsze;

Bolesław Drobner — Bezustanna walka, tom II, wspomnienia 1919—1935, Warszawa 1965, wydanie pierwsze;

Irena Maciejewska — Leopold Staff, Lwowski okres twórczości, Warszawa 1965 r., wydanie pierwsze;

Dawid Samojłow, — Natchnienie i inne wiersze, wybrał Wiktor Woroszylski, Warszawa 1965, wydanie pierwsze;

Bogdan Madej — Uczta, Warszawa 1965, wydanie pierwsze;

George Saiko — Człowiek w sitowiu, przełożyli: Irena i Egon Nagänowscy, Warszawa 1965, wydanie pierwsze;

Robert Penn Warren — Nocny jeździec, przełożył Kazimierz Piotrowski, Warszawa, 1965, wydanie pierwsze;

Marek Nowakowski — Zapis, Warszawa 1965, wydanie pierwsze;

Jerzy Harasymowicz — Budowanie lasu, Warszawa 1965, wydanie pierwsze;

Jan Górec-Rosiński — Bluźnierstwo garncarza, 1959—1964, Warszawa 1965, wydanie pierwsze;

Miodrag Pavlowić — Sobowtóry, wybrał Tymoteusz Karpowicz, przełożyli: Petar Vujicic, Tymoteusz Karpowicz, Warszawa 1965, wydanie pierwsze;

Instytut Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk — Poetyka i Matematyka, praca zbiorowa pod redakcją M. R. Mayenowej, Warszawa 1965, wydanie pierwsze;

Antologia poetycka londyńskiej grupy „Kontynentów" — Opisanie z pamięci, wybrał, opracował i przedmową opatrzył Andrzej Lam, Warszawa 1965, wydanie pierwsze.

Nie czekajmy aż zakwitną jabłonie

MARIA BECHCZYC-RUDNICKA

W TWÓRCZYCH umysłach organizacyjnych Lublina zrodziła się ostatnio myśl powołania do życia towarzystwa przyjaciół Filharmonii im. Henryka Wieniawskiego, inicjatywa bez wątpienia roztropna, podparta mądrością przysłowia „przyjaciele naszych przyjaciół są naszymi przyjaciółmi". Od jakiegoś czasu dyr. Marian Lewandowski, kierownik artystyczny szacownej placówki państwowej, kończy co lepszy koncert pełnym werwy przemówieniem, w którym zaprasza publiczność na spotkania z orkiestrą i solistami dla wymiany kryteriów. Czy to grono przyjaciół potrafi zarazić swe otoczenie entuzjazmem do trudniejszej klasyki i całkiem trudnej muzyki awangardowej, pokaże przyszłość, ale już teraz można powiedzieć, że na pewno lepiej jest, by przynajmniej część audytorium, zamiast pędzić po bisach do ciasnej szatni, prowadziła raz na tydzień w pokoju dla artystów towarzyskie dyskusje przy czarnej kawie, będącej nie byle jakim środkiem tonicznym.

Natomiast nie mam, szczerze mówiąc, przekonania do drugiego sposobu „wyjścia naprzeciw" — do owego formularzyka ankietowego, który znalazł się od pewnego czasu w programie koncertowym. „Interesuje nas przede wszystkim — zaznacza dyrekcja PFL — jakie utwory i jakich wykonawców słuchacze chcieliby usłyszeć na naszej estradzie. Propozycje te będą pomocą przy opracowywaniu planów koncertowych".

Dużo mówiono w swoim czasie o ankietomanii, kwestię rozwalkowano i odłożono *ad acta*. A oto znowu trzeba przypominać o potrzebie oszczędzania papieru. Jest rzeczą jasną, iż pytania zawarte w wymienionej ankietce są tak zwanymi pytaniami akademickimi, że mają wyraźnie cel deklaratywny, jeśli filharmonia istotnie już opracowała plan sezonu 1966/67 (jak dowiadujemy się z prasy codziennej). I powiem — całe szczęście, bo gdyby się zasugerowała odpowiedziami ankiety, moglibyśmy zostać przy samych koncertach popularnych i „rozrywkowych".

Znane i uznane hasło umuzykalnienia mas zaczyna, niestety, wchodzić w fazę swoistych błędów i wypaczeń. Kardynalnym mankamentem tej akcji, ze wszech miar słusznej, stał się brak podziału pracy. Umuzykalnieniem bowiem zajmuje się wiele placówek na raz: Radio, TV, towarzystwo muzyczne, szkoły, no i filharmonia. Wypowiadałam się już na ten temat z okazji Lubelskiego Września Muzycznego. Ultrapopularne programy koncertowe, rodem z variété i music-hallu, są w filharmonii, według mnie, takim samym nonsensem i niewłaściwością, jakim byłaby na wyższej uczelni elementarna nauka czytania i arytmetyki. Obstaję przy haśle: „właściwa rzecz na właściwym miejscu", przestrzeganie go uważając za jeden z zasadniczych warunków postępu.

Wydaje mi się, iż mimo licznych deklaracji, a nawet realnie wartościowych świadczeń na rzecz artystów, gospodarka kadrami artystycznymi jest jeszcze u nas pod pewnymi względami nieracjonalna, po prostu nieekonomiczna. Fakt to przecież bezsporny, że wysoko wykwalifikowanego orkiestranta filharmonii należy rezerwować do wykonywania wysoce wartościowej, trudniejszej, ba — odkrywczej muzyki, nie absorbując go systematycznie, w wielkim sezonie, blahostkami nadającymi się tylko do muszli koncertowej w parku lub do innych imprez estradowych. Orkiestra filharmonii musi poświęcać swój czas nieustannemu ćwiczeniu się w repertuarze odpowiadającym jej randze artystycznej. Skutki cotygodniowego uprawiania muzyki lekkiej mogą być fatalne. Skłonna jestem, na przykład, podejrzewać, że powodem niewstawienia do jednego z programów tak interesującej pozycji, jak Concierto Argentino A. Ginastery, „z przyczyn niezależnych" od świetnej pianistki Haydée Loustaunau, była w istocie niemożność przygotowania tego utworu przez orkiestrę.

Oto jedna strona sprawy, drugą jest wątpliwa wartość koncepcji karmienia wyrobionych melomanów „jabłuszkiem pełnym snu" w nadziei, iż mniej wyrobieni skonsumują przy tej sposobności „Miłość do trzech pomarańcz" Prokofjewa. Nie wypada chyba dzisiaj stosować w muzyce praktyk „sprzedaży wiązanej", dawno zarzuconych w obrocie księgarskim. Proszę mi wierzyć, są zatwardziali amatorzy „jabłuszek", misia i żabki („bo u misiów tak już jest — kocha się lub śpi..."). Po co ich ściągać na siłę do filharmonii, mają takich delicji pod dostatkiem gdzie indziej. W dodatku oświadczył przecież p. dyrektor Lewandowski, że te koncerty „rozrywkowe" są bardzo kosztowne. Podobno nie udało się zdobyć dla Lublina Wojnickiego, ponieważ popularny piosenkarz zażądał stawki wyższej od zatwierdzonej. Ładna historia! A znakomitych artystów pierwszej klasy z Argentyny, USA, ZSRR udaje się sprowadzić? Przepraszam, ale diabli biorą człowieka na myśl o tak katastrofalnym zachwianiu rang artystycznych (w całym świecie!). Sama lubię posłuchać od czasu do czasu piosenki dowcipnej lub sentymentalnej, wykonanej z talentem i nie po amatorsku, tylko powtarzam — jest na to tysiąc okazji poza filharmonią.

Precyzuję moją propozycję. Przede wszystkim nie mieszajmy koncertów popularnych z „rozrywkowymi". Wypowiadając się przeciwko dublowaniu działalności PPIE, jestem zarazem za urządzaniem przez filharmonię niedzielnych poranków muzyki popularnej. Ale umówmy się od razu, co będziemy uważać za popularną muzykę filharmoniczną. Taką muzyką popularną może być dziś i dzieło Chopina, i Czajkowskiego, i Schuberta, i Schumanna (w ogóle romantycy), i cały obszar klasyki operowej, bądź baletowej, naturalnie też dobra operetka. Zresztą czyż nawet Polka Szostakowicza albo *Perpetuum mobile* Kisielewskiego nie są komunikatywne? Mamy z czego ułożyć program poranka niedzielnego. Program zaś piątkowy powinien uwzględniać, obok trudniejszych czy rzadziej wykonywanych kompozycji wymienionych i innych wielkich mistrzów, utwory zdecydowanie awangardowe, atrakcyjne dla wytrawnych melomanów. A zatem postuluję odważnie zróżnicowanie programów piątkowego i niedzielnego, gdyż obecny „uniwersalny" program wykonywany w tygodniu dwukrotnie jest dla jednych słuchaczy częściowo za trudny, a dla drugich — za łatwy i banalny.

Nie chcę bynajmniej atakować kierownictwa filharmonii lubelskiej. Wierzę w jego dobrą wolę i wiem, że jest zbyt fachowe, by nie orientować się w ciężarze gatunkowym, w walorach i stopniu przystępności dzieł muzycznych. Mam jedynie przekonanie, iż zbytnio ulega presji założenia, pochopnie przyjętego przez odgórne czynniki, jakoby taka placówka artystyczna jak filharmonia musiała już obecnie być samowystarczalna na podobieństwo Państwowego Przedsiębiorstwa Imprez Estradowych. W konsekwencji wypada osłaniać ten mus finansowy sztucznymi sposobami „umasowiania" źle interpretowanej kultury filharmonicznej.

Bogiem a prawdą należy właściwie podziwiać zręczność i umiejętność, z jaką dyrekcja naszej filharmonii potrafi wygospodarować w sytuacji rzec można przymusowej — sporo bardzo nobliwych koncertów. W bieżącym sezonie był już niejeden taki, którym śmiało można się pochwalić. Przytoczę przykładowo październikowy występ Władysława Kędry w koncercie symfonicznym pod dyrekcją Zygmunta Hassy. Znakomity pianista wykonał błyskotliwie a subtelnie nieczęsto wykonywaną rachmaninowską Rapsodię na temat Kaprysu Paganiniego. Wkrótce potem usłyszeliśmy świetny Kwartet Warszawski w ciekawym polskim repertuarze (przydałoby się więcej muzyki kameralnej w Lublinie!). Wysoką lokatę trzeba przyznać wspomnianemu już występowi Haydée Loustaunau (Koncert fortepianowy A-dur Mozarta i kilka oszałamiająco pięknych bisów z kręgu twórczości Argentyńczyków). Trwale zapisze się w pamięci lublinian również recital Marty Sosińskiej, laureatki III Nagrody na ostatnim Konkursie Chopinowskim. Wzbudził także zachwyt wysoki artyzm pianisty brazylijskiego Arnolda Estrelli (w Koncercie d-moll Brahmsa). Nie wolno nadto pominąć milczeniem styczniowego występu doskonałego wirtuoza, Igora Iwanowa, który grał barwny Koncert skrzypcowy Chaczaturiana z orkiestrą pod batutą Zbigniewa Chwedczuka. I wreszcie wielki aplauz należy się dyrekcji za zorganizowanie lutowego koncertu symfonicznego, w którym można było podziwiać tak fascynujące zjawisko artystyczne, jakim jest Regina Smendzianka.

Za każdy dobry *moment musical* — dzięki. A w sprawie koncertów „rozrywkowych" dyskusja trwa.

książki • książki • książki • książki • książki

Inwokacje nie takie znów zielone

ZBIGNIEW STRZAŁKOWSKI 32-letni poeta, znany z zainteresowań malarstwem i historią sztuki, członek istniejącego przy lubelskim oddziale Związku Literatów Polskich Lubelskiego Klubu Literackiego, zadebiutował ostatnio w „Paxie" pokaźnej objętości tomikiem poetyckim pt. *„Inwokacje zielone"*.

Na 66 wierszy zbioru, uszeregowanych w 5 częściach, z których każda mogłaby stanowić odrębny tomik, co najmniej połowa wytrzymuje próbę krytyki, niekiedy nawet zasługuje na bardzo wysoką ocenę. Akcentuję stronę liczbową, ponieważ, wydaje się, że zarówno autor jak i redaktor zbioru popełnili błąd, ładując do wielkiego worka tej książki dosłownie wszystko, a więc słabości warsztatowe, nieudane, a czasem naiwne eksperymentatorstwo czy nawet sztuczność obok poezji bardzo wysokiej rangi. Nie mogło to wyjść na dobre autorowi, książce i czytelnikowi. A przecież z tej masy wierszy, świadczących o elokwencji poety, można było wykroić cacko jakże świetne w błysku szczerości, inteligencji i erudycji debiutującego poety. Na szczęście, mimo to jest za co chwalić autora *„Inwokacji zielonych"*.

Przede wszystkim rzuca się w oczy jego dojrzałość intelektualna i niepoślednie otrzaskanie z warsztatem poetyckim, a także ze współczesną poezją i to nie tylko rodzimą, z jej wysokimi (i — niestety — niskimi) lotami. Dlatego w tomie znajdujemy wiersze pisane na pewno z myślą o czytelniku, tzn. nie zaszyfrowane, nie wyizolowane ze społeczności czytających poezje i w ogóle czytających, wiersze pełne szczerości i tak rzadkiej u Strzałkowskiego prostoty, pełne wewnętrznego przeżycia, o wersyfikacji poprawnej, strofie wprawdzie nie rymowanej lecz dzwoniącej muzyką wewnętrznego rytmu, ozdobionej perełkami metafor.

Przytoczmy dla przykładu dwie środkowe strofy *„Autoportretu"*, zachowując nieco manieryczną interpunkcję autora:

Ja — golem od chmur
popychany na Wschód Rusi i Zachód Bretanii.
Ja — bradiaga od wiatrów
srebrzystych i szyszek hiszpańskich
cedrów bosonogich.
Ja — trubadur strojący głosy cietrzewi
kiedy znak im dany potajemnie.
Ja — powsinoga
po pas zanurzony w lazur pęczniejących
drzew ogrodu:
— tych 168 na 56 kg wagi.
Ot, dobry szczupak z Jeniseju wściekłej
wody.
— śmieszny w nagości,
niczym Frasobliwy zlany w czas niepo-
gody.
— naiwny w miłości,
jak słowo rzucone w szum bieli na
jasnej
glazurze płótna.
— dumny ze swobody,
niczym wiecheć ostów w cieniu jesien-
nych topoli.

Nie jest to, rzecz prosta, wiersz najlepszy. Ale zaliczam go do dobrych, takich jak *„Szukanie prostej logicznej"*, *Strefa XIII"*, *„Więc tam byłeś"*, *„Ten który musi umrzeć"*, *„Inwokacja zielona — na dzień proroka Ilii"* itp. Przytaczam te wiersze m.in. dlatego, że są one reprezentatywne nie tylko dla poetyki Strzałkowskiego, lecz również dla unaocznienia skali tematycznej i skłonności do refleksyjności.

Poeta bardzo często i chętnie umiejscawia swoje wiersze gdzieś pod niebem wschodnich rubieży „zielonej Rosji", pisze o niebie Sycylii, o kopułach baniastych Bizancjum, o tragedii Murzynów kongijskich, że wymienię tylko te kraje dla przykładu; zastanawia się powściągliwie a mądrze nad losami człowieka uwikłanego w tragiczne dzieje współczesnego świata i szuka usprawiedliwienia dla swojej własnej postawy bierności. Gdzie indziej (*„Ten który musi umrzeć"*), nawiązując przez chwilę do moralności Piłata, wskazuje, iż postawa ta nazbyt często towarzyszy ludzkiemu działaniu lub zaniechaniu i to nawet przy pełnej świadomości tego, iż sądy ludzkie są omylne. Gdzie indziej (*„Dyskobol"*) dochodzi do filozoficznej refleksji, że przecież u kresu życia każdego człowieka choćby to był nie byle jaki nowy Herkules, czeka „cel ostateczny" w przestrzeni gwiezdnej. W *„Szkicu do portretu z pamięci"* stara się znów znaleźć syntezę czasu określonego najnowszą historią, a także własne miejsce w tym świecie. Pisze list do Wozniesieńskiego, list do Delacroix, pisze o martwej naturze Chagrina; wspomina Chagalla; w sonecie syryjskim *„Dawid"* woła: *„Ich bin Jude — wołam, by nikt nie miał pretensji, że się siebie boję. Ja — Dawid"*.

Bardzo różne lecz zawsze szlachetne są przedmioty poetyckiego zainteresowania Strzałkowskiego. Współczuje on człowiekowi w jego tragicznych drogach, wiodących przez Oświęcimia świata, przez okrucieństwa rasizmu (*„Najgorszy spośród Amerykanów"* i *„Kongo"*), przez nieśmiertelne sprzeczności życia (*„Komunikat"*), przez martyrologie bieszczadzkie (*„Oratorium na sad spalony"* i in.).

Miejscami w wierszach tych pobrzmiewa niedobry ton publicystyki. Trzeba powiedzieć, że osiąga on największe natężenie w części nazwanej *„Psalmem"*. Te wiersze są chyba najsłabsze, najbardziej przegadane i najmniej szczere a miejscami wręcz nudne. Ale już w części nazwanej *„Inwokacje"* poeta rozwija skrzydła talentu i daje nam lirykę najczystszej próby, np. w wierszu *„Pieta czarnoskórecka"*, w którym odważnie łamie granice czasu i przestrzeni, ażeby przemówić wspólnym, zrozumiałym dla każdego człowieka bólem matki opłakującej syna, obojętne czy to będzie Chrystus czy partyzant, komunista, Lumumba, Murzyn, słoń, dziecko...

To są wiersze dobre, szlachetne, szczere i dobrze napisane z punktu widzenia tzw. rygorów — tych elementarnych, bez których zachowania nie ma mowy poetyckiej. Ale niech mi kto powie, o co poecie chodzi w *„Wietrze osiem pół nocy"*? Albo kto uzna za dobrą i słuszną drogę do poezji, ukazaną w ogromnym, gadatliwym *„Tryptyku"*? A przecież i w tym wierszu miejscami strofa dźwięczy czystym kruszcem rzetelnego talentu. A może poeta pragnie wrócić do maniery symbolistów: z zestawień i spięć słownych chce wydobyć magię nowego sensu poetyckiego? Wolno i trzeba eksperymentować, szukać nowych dróg. Jeśli Strzałkowski chciał nam pokazać w swoich *„Inwokacjach zielonych"*, że nie omieszkał tego czynić, to trzeba jednak stwierdzić, że mu to nie wyszło. I to nawet tam, gdzie czuje się mocno w siodle: w malarstwie. Gdy chce strofę nasycić jakimś dziwnym utożsamieniem tej sztuki z poezją, od razu odzywa się zgrzyt. Dzieje się tak np. w wierszu *„Wariat z Supraśla kąpie się w morzu"*, który przede wszystkim jest nazbyt niejasny, ażeby mógł wywołać jakiekolwiek wzruszenie (chyba zniecierpliwienie). A może przez udziwnienie przedmiotu Strzałkowski w tym miejscu, niczym czarnoksiężnik, przemienia się w rasowego nadrealistę? Ta przemiana nie jest ostatecznie złem, ale źle jest niezdecydowanie, przy którym kształcie zostać.

Sporo jeszcze w tej poezji sprzeczności, ciągła tendencja do cofania się poza granice komunikatywności, zbytek w niej kolorów, może nawet jakaś obsesja widzenia świata przez barwy palety malarza. Co gorsza, struktura wiersza wpada często w jakąś niedobrą zależność od owej palety. Kiedy bowiem poeta mówi: *„cały jestem wypchany trocinami, wiedzy pachnącej z obrzydzeniem patrzę na martwą naturę — perfumy stoi wariat z Supraśla w bryle geometrii zamknięty odkręcają się spirale fal magnetycznych do momentu wystrzału — wniebowzięty..."* itd. itd., to trzeba zapytać, czemu służy podobne eksperymentowanie? Trzeba też wyjaśnienia autora, dlaczego uprawia tak dziwną interpunkcję? Np. zupełny jej brak i nagle kropka, po której następuje zdanie zaczynające się z małej litery, albo odwrotnie: przecinek i zaraz duża litera bez uzasadnienia konwencjalnego? Nie umiem odpowiedzieć na to pytanie.

Wszystko to jednak wskazuje chyba, że Strzałkowski szuka ciągle własnej drogi poetyckiej. Te ścieżki, które już schodził, a które pokazał nam w *„Inwokacjach zielonych"* pozwalają jednak rokować mu w przyszłości dalsze sukcesy.

Stefan Wolski

Zbigniew Strzałkowski

Fot. A. Polakowski

KIELECKIE OSTY i chosty

Luksus wizualny

Od lat prosperuje w Ostrowcu Świętokrzyskim przy pryncypalnej ulicy kawiarnia „Oaza". Dziś, zdać by się mogło, powinna dawno ogłosić upadłość i odejść w świat wspomnień, bo oto vis a vis powstał ze szkła i stali piękny pawilon kawiarni „Kryształowej". A jednak „Oaza" mimo ciemnego brudnego wnętrza, ciasno stłoczonych stolików i huczącego głośno wentylatora, na próżno walczącego z chmurą dymu — skupia zawsze komplet gości. Ci ostatni przeważnie w płaszczach (z powodu zimna), ale piją kawę, rozmawiają słowem żyją bujnie i towarzysko.

Z ciekawości zajrzałem więc do „Kryształowej". Na drzwiach ostrzegawczy napis: „Lokal kat. I". Potem: szatnia po złotówce od okrycia, marmurowe schody na piętro i... pustka, chłód! W gablocie zestaw tych samych, co w „Oazie" ciastek, tyle, że droższych o dwie kategorie. Herbata, którą podano, była identyczna (ale różnica w cenie), a bufet dysponował jedynie bogatszym assortymentem trunków. Prócz wina sprzedaje się tu także rumy i koniaki (np. francuski „Armagnac" po 670 zł!).

Nawet krótki pobyt w „Kryształowej" tłumaczy nam mądrość mieszkańców Ostrowca, którzy wolą marznąć w „Oazie", gdzie nie ma szatni, niż w „Kryształowej" bez okrycia, dopłacając jeszcze narzuty gastronomiczne. Tradycja to wielka siła i dlatego „Kryształową" trzeba albo „przemalować" na niższą kategorię, albo przerobić na restaurację, bo „Oazy" nie pokona. Na nic snobizm, skoro nie ma snobów!

Esteta

W Kielcach bawiła na gościnnych występach operetka lubelska z „My Fair Lady". Widzowie serdecznie powitali artystów, chociaż w Hali Sportowej gigantofony zniekształcały słowa płynące ze sceny. Obywatel Eugeniusz K. wolał jednak patrzeć za... kulisy. Położył się na pokrytym warstwą śniegu dachu hali i zaglądał do garderób damskich przez świetlik. Ponieważ była to garderoba damska, w której przebierały się tancerki baletu, widoki były, mniemam, urocze. Pech chciał, że w pewnym momencie dostrzeżono jednak, naszego estetę i z użyciem służby porządkowej oraz MO sprowadzono go z obłoków na ziemię. Był podobno całkiem skostniały z zimna, ale mimo mandatu... zadowolony. Miał odpłatny strip-tease i rozgłos, z którego mniej zadowolona była ponoć jedynie małżonka ob. E. K., która wniosła pozew rozwodowy.

R. Podl.

od BIEBRZY po BIESZCZADY

BIAŁYSTOK

Białostocczyzna naukowcy przygotowują do druku kilka prac poświęconych dziejom regionu. Przewiduje się wydanie jeszcze w tym roku m.in. monografii społeczno-ekonomicznej województwa białostockiego, monografii Ziemi Augustowskiej oraz publikacji ukazującej powstawanie władzy ludowej na Białostoczczyźnie.

Białostockie Towarzystwo Naukowe utrzymuje obecnie kontakty z 280 krajowymi i zagranicznymi ośrodkami naukowymi. Towarzystwo współpracuje z uczonymi 29 krajów.

Dużą popularnością wśród ferenowych pracowników kulturalno-oświatowych cieszy się Łomżyński Uniwersytet Kultury. Niewątpliwie sporą w tym zasługa pacowników naukowych Uniwersytetu Warszawskiego, którzy wykładają na ŁUK wybrane zagadnienia z dziedziny sztuki.

W woj. białostockim obserwuje się coraz większe zainteresowanie książką rolniczą. O ile w roku 1964 księgarnie sprzedały książek rolniczych za 1,5 mln zł, to w roku 1965 za 1,7 mln zł. (i)

KIELCE

Uniwersytet Kultury zorganizowany w Kielcach przy Muzeum Świętokrzyskim przyjął się i ma już stałych słuchaczy. W styczniu głównym tematem wykładów i prelekcji była sztuka gotyku. W lutym — równie ciekawe wykłady i filmy o sztuce renesansu, m. in. „Architektura renesansu w Polsce", „Kazimierz — miasto Odrodzenia", „Rozwój broni w Polsce w czasach Odrodzenia", „Architektura Zamku Kieleckiego".

Wiadomo, że kielecka drukarnia RSW „Prasa" nie jest poligraficznym kombinatem. Ale zakład to pod każdym względem przyzwoity (nie tylko dlatego, że drukuje „Słowo Ludu"). W ostatnim pięcioleciu drukarnia miała w porównaniu z rokiem 1960 najwyższy w kraju przyrost produkcji: całe 100 proc. Dla porównania — w drukarni przy ul. Okopowej w Warszawie przyrost wyniósł 66,9 proc., a w drukarni RSW „Prasa" we Wrocławiu — 43,8 proc. A są to przecież dwa kolosy i „kudy" do nich kieleckiej „manufakturze". Plan ubiegłego roku wykonali kieleccy „towarzysze sztuki drukarskiej" w 111,3 procentach. Gratulujemy! (b)

LUBLIN

W lubelskiej FSC odbyła się pierwsza na Lubelszczyźnie — i chyba w kraju — wojewódzka narada w sprawie propagandy wiznalnej w zakładach pracy, przygotowana przez Wydział Propagandy KW PZPR przy współpracy dyrekcji fabryki i innych instytucji, w której wzięli udział działacze partyjni, związkowi, plastycy i krytycy sztuki. Wszystko przemawia za tym, że postulaty pożytecznej narady doczekają się realizacji.

Pierwszy Uniwersytet Robotniczy powstał w Lublinie sześć lat temu przy FSC. Dziś na wykłady UR kierowanego przez ZMS uczęszcza również młodzież spoza fabryki. Z kilku kursów m. in. języków obcych, handlowych i Studium Wiedzy o Polsce korzysta rocznie ponad 500 młodych słuchaczy. Z każdym rokiem polepsza się też kadra wykładowców.

Lubelski Klub Literacki istnieje od roku i skupia 33 poetów i prozaików. W najbliższej przyszłości Wydawnictwo Lubelskie wyda almanach obejmujący twórczość członków klubu. Uprzedzając niejako to wydarzenie, 9 lutego odbył się w klubie „Nora" zbiorowy wieczór autorski, podczas którego usłyszeliśmy kilka niezłych wierszy i fragmenty prób prozatorskich.

Związek Polskich Artystów Plastyków Okręgu Lubelskiego świętował 13 bm. jubileusz XXX-lecia istnienia organizacji. W czasie akademii w sali Filharmonii Lubelskiej wręczono nagrody, odznaki Tysiąclecia i pamiątkowe plakietki zasłużonym plastykom oraz działaczom i instytucjom współpracującym ze ZPAP. Otwarto też dwie duże wystawy: w muzeum artystów nieżyjących lub okresowo związanych z Lubelszczyzną, a w BWA — aktualnych członków związku. W uroczystościach uczestniczył Przewodniczący Prezydium WRN — Paweł Dąbek, sekretarz KW PZPR — Edward Machocki oraz przedstawiciele MKiS, ZG, ZPAP i innych okręgów plastycznych w Polsce. (k)

RZESZÓW

W teatrze im. Wandy Siemaszkowej w Rzeszowie odbyła się ostatnio premiera sztuki wybitnego słowackiego dramaturga Petra Zvona pt. „Hal pożegnalny". Spektakl jest wynikiem od dawna trwającej współpracy między Teatrem im. Jonasza Zaborskeho w Preszowie i teatrem rzeszowskim. Sztukę reżyserował Milan Bobula, dyrektor teatru z Preszowa. W drodze rewanżu do Preszowa wyjechał reżyser Teatru im. Wandy Siemaszkowej i jego kierownik literacki Jerzy Pleśniarowicz, który reżyseruje w zespole Teatru im. Jonasza Zaborskeho sztukę Marka Domańskiego „Ktoś nowy".

W rzeszowskim Domu Sztuki otwarto 5 bm. wystawę rzeźby Romana Tarkowskiego. Artysta wystawiał już wielokrotnie swe prace w kraju i za granicą. Od roku 1947 jest wykładowcą rzeźby w Państwowym Liceum Sztuk Plastycznych w Krakowie, lecz utrzymuje żywy kontakt z rzeszowskim środowiskiem plastycznym.

Przy Studium Nauczycielskim w Przemyślu zorganizowano 2-letni kurs instruktorów zajęć świetlicowych. Bierze w nim udział 100 słuchaczy ze wszystkich wydziałów SN oraz kilku nauczycieli z miasta. Program kursu obejmuje kulturę żywego słowa, zagadnienia teatralne, elementy tańca, muzykę i umuzykalnianie oraz elementy plastyki i inne zagadnienia. Kursem opiekuje się Kuratorium OS i Wydział Kultury Prez. WRN.

(g)

(Dokończenie ze str. 8)

rostka dzierżawczego **-ewa** (wtórnie przekształconego w **-awa**). Jest to więc nazwa dzierżawcza, podobnie jak Częstochowa, Nieszawa itp.

Spośród nazw miejscowych Lubelszczyzny spotyka się etymologie ludowe w odniesieniu do nazw: Hrubieszów, Kock, Kodeń, Łęczna, Łuków, Szczebrzeszyn. Etymologie te znane są nie tylko dzięki tradycji ustnej miejscowej ludności,

„Lubiał liny"?

ale są one często propagowane w różnych monografiach historycznych, czasopismach itp. Większość takich fałszywych etymologii utrzymuje się na szczęście tylko w tradycji ustnej miejscowej ludności i o tych wiemy na ogół niewiele. Warto więc poddać krytyce te, które zostały ogłoszone drukiem. Wybieramy niżej tylko niektóre z nich.

Otóż według etymologii ludowej nazwa **Hrubieszów** miała wziąć początek rzekomo od tego, że gród ten został założony w pradziejach „na rubieżach" Polski. Etymologia ta została do tego stopnia zakorzeniona wśród miejscowej ludności, że nawet na pomniku Staszica w Hrubieszowie widnieje napis **Rubieżów**, a nie **Hrubieszów**. Prawidłowa jest nazwa Hrubieszów, bowiem pochodzi od dawnego imienia męskiego **Hrubiesz**, z dodaniem przyrostka -ów. Jest więc nazwą o charakterze dzierżawczym, podobnie jak Kraków, Sędziszów itp. Nazwę **Kock** (dwanie) **Kocko**) etymologia ludowa wiąże z bóstwem Jadźwingów o nazwie Kuczko lub Koczko itd., co jest również fantazją. Warto o tym wspomnieć, ponieważ etymologia taka odnotowana jest np. w książeczce J. St. Majewskiego „Dzieje miasta Kocka" (Kock 1928). Skądinąd jednak wiemy, że jest to nazwa dzierżawcza, wywodząca się od staropolskiego imienia **Kot**, do którego dodany został przyrostek o funkcji dzierżawczej -sko. Pierwotnie było to **Kocko**, wtórnie **Kock**. Nazwę **Kodeń** łączono z kolei z określeniem „to deń" (w znaczeniu: to dzień, już dzień), które z biegiem czasu przekształciło się w niby poprawniejszy **Kodeń**. Wspomina o tym J. Pruszkowski w pracy „Kodeń Sapiechów" Kraków 1898. Z punktu widzenia językoznawczego jest to nazwa topograficzna, w której widoczna jest cząstka rdzenna (pień) **kod-a** w znaczeniu kurnik, chata oraz przyrostek **-eń**. Pierwotnie nazwa ta oznaczała zapewne miejsce ukryte, oddalone od głównych szlaków itp. Nazwę **Łęczna** w sposób sztuczny wiązano z wyrazem „łączyć", co miało oznaczać, że miejscowość tę łączył w dawnych czasach handel wschodu z zachodem. W konsekwencji jest to nazwa topograficzna, w której tkwi pierwiastek **łęk** obok **łąk** w znaczeniu teren podmokły, łąki nad rzeką itp. oraz przyrostek ogólnostrukturalny **na**. Nazwę **Łuków** od niedawna wywodzono od broni **łuków**, co znalazło odbicie np. w monografii J. St. Majewskiego pt. „Łuków miasto powiatowe w województwie lubelskim" (Łuków 1930, s. 7). Okazało się jednak, że jest to również nazwa o charakterze topograficznym. Teren, na którym dana nazwa powstała, odznaczał się w pradziejach wilgotnością. Wskazuje na to pierwiastek **łuk-** oznaczający moczary, obszar nad rzeką.

Taką pseudonaukową etymologię mają również Puławy. Nazwę tę z jednej strony usiłowano wiązać z wyrazem „pulwy" w znaczeniu łęgi nadrzeczne, zarośla nad rzeką itd., ale bez bliższego określenia związku strukturalno-semantycznego nazwy **Puławy** z wyrazem „pulwy", z drugiej zaś strony wywodzono tę nazwę z określenia „puł ławy", co już jest całkowicie bezsensowne. W istocie jest to nazwa topograficzna, ale w swej budowie słowotwórczej bardzo skomplikowana. Wreszcie nazwę **Szczebrzeszyn** łączono w sposób sztuczny z określeniem: „szczeg werchy sut", co miało oznaczać, że jest to miejscowość, która powstała w pradziejach na obszarze, na którym były jeszcze wzniesienia itp. Przykłady na takie i tym podobne etymologie ludowe można by mnożyć. Spotkałem je np. w odniesieniu do nazw: Baranów n. Wieprzem, Chodel, Urzędów itd. Podobnie jak baśnie, legendy itp. żyją one w tradycji ustnej od wieków, przekazywane z pokolenia na pokolenie. Jako tak zwane ludowe etymologie można je całkowicie tolerować i poznawać. Chodzi jednak o to, by w razie potrzeby umieć je odróżnić od etymologii naukowych.

Należy stwierdzić, że cechą wspólną wszystkich etymologii ludowych jest to, że dotyczą one nazw bardzo starych, z punktu widzenia współczesnego języka niezbyt dla ogółu społeczeństwa jasnych lub wprost ciemnych. Ogólnie etymologie te są jakby doczepione do danej nazwy własnej, przy czym w celu jej wyjaśnienia podstawia się zazwyczaj jakąś inną nazwę własną lub wyraz pospolity, który chociażby tylko pod względem formalnym i brzmieniowym zbliżony jest do aktualnej nazwy miejscowej lub osobowej. W etymologiach ludowych istnieje też tendencja do wiązania danej nazwy własnej z jakimiś przeżyciami ludu tego terenu, np. z walkami narodowowyzwoleńczymi, religijnymi itp. (np. nazwy Kock, Łuków). Większość etymologii ludowych polega na dowolnej, bardzo naciąganej interpretacji materiału dźwiękowego. W konsekwencji etymologie te są typową „pseudologią", tj. pozornym tłumaczeniem danej nazwy własnej. Należy je traktować podobnie jak baśnie lub legendy.

Stefan Warchoł

Kto się boi Różewicza?

DAWNO minęły te czasy, kiedy dyrekcje teatralne zostawiały w planach okienko na polską pozycję współczesną, ale jeszcze niecałe dwa lata temu wydawało się, że mając w końcu pojedyncze świeżo napisane sztuki, nie mamy właściwie, poza Mrożkiem, nowego teatru autorskiego, w sensie charakterystycznej dla jakiegoś pisarza nowej dramaturgii stanowiącej pewną całość jednolitą w stylu, który byłby nowym słowem dla teatru tworzonego na scenie. Eksploatowaliśmy zatem po trosze jako nowość znany nie od dziś teatr Witkacego, ale w gruncie rzeczy jest to teatr z innej epoki, tak że summa summarum teatr Mrożka z jego „realnością domyśloną do absurdu" był jedynym naprawdę nowym zjawiskiem dramaturgicznym.

Obecnie przybył nam teatr Różewicza. Robiąc inny użytek ze znalezionej u poety aluzji do Sartre'a można powiedzieć, iż nie tylko dostrzeżono już egzystencję tego teatru, ale i spenetrowano w dużym stopniu jego esencję. Tedy posiadamy w danej chwili drugi uznany oryginalny, odkrywczy teatr „autorski", czyli oczywistym stało się faktem, że w dramaturgii polskiej dobrze się wreszcie dzieje.

Narzekać jednak można i trzeba na to, że polskie nowe zdobycze z trudem torują sobie drogi... w Polsce. Oto przykład. 25 kwietnia ubiegłego roku odbyła się w krakowskim Starym Teatrze premiera świetnej „komedii" Tadeusza Różewicza „Wyszedł z domu", wydrukowanej w październikowym numerze „Dialogu" z roku poprzedniego. Trzeba było aż kilkunastu miesięcy od czasu opublikowania rzeczy, by mogła ją zobaczyć chociaż garstka lublinian. Cała wdzięczność za odwagę należy się przytym zespołowi amatorskiemu Wojewódzkiego Domu Kultury, który opracował nielatwy utwór z dużą wielkiej pochwały starannością, pod kierunkiem aktora Teatru im. J. Osterwy, Zygmunta Foka.

Nie pierwszy to raz zespoły amatorskie wyręczają teatry zawodowe w realizacji ambitnych pozycji repertuarowych. Tym gorzej dla zawodowców. Mówi się ciągle telewizja, telewizja... A co będzie, jeżeli w dodatku i amatorzy...? Przecie kochają dobrą dramaturgię bezinteresownie, a kochanie nie uznaje trudności. Tyle dziś rodzi się talentów, tylu zapaleńców spoza ZASPu działa coraz udatniej. A więc caveant consules (czy też „consultantes")...! Pewno, że ta konkurencja nie wyrządzi szkody kasie, lecz może pozostawiać lekką rysę na reputacji oficjalnego, jak się to dawniej mawiało — „chramu" Melpomeny.

To pobieżne biadolenie w przededniu premier „Horsztyńskiego" i „Medei" nie godzi naturalnie w cały repertuar lubelskiego teatru dramatycznego, mam na myśli tylko dobór niewybrednych nowinek kasowych zajmujących miejsce należne nowej sztuce z prawdziwego zdarzenia.

Wracając na moment do przedstawienia przygotowanego w WDK przez Z. Foka, chcę odnotować pewną szczególną cechę sztuki „Wyszedł z domu": realizacja jej udaje się znakomicie zarówno na scenie zawodowej, jak i amatorskiej (widziałam przed tym doskonały spektakl Starego Teatru). Chyba dlatego, że, jak wiadomo, teatr Różewicza jest par excellence teatrem poetyckim. Skąpa w nim akcja, niewiele ruchu. Jeśli reżyser znajdzie z zespołem właściwe podteksty i intonacje, wierne przekazanie treści jest już zapewnione bez dekoracji, kostiumów i różnych efektów scenicznych. Trafność odczytania dramatu człowieka, który usiłował „wyjść" z ciała — więzienia była w przedstawieniu „zamkowym" uderzająca, a zarazem celnie został oddany farsowy komizm banalnych, powszednich sytuacji życiowych wyrażony namolnym międleniem wytartych słów. Stanowczo brawo i bis!

M. B.-R.

Odpowiedzi Redakcji

R. J. D. w Warszawie. List Pana zapewne ubawi czytelników, tak, jak i nas ubawił. Cytujemy go więc w całości: „Zwracam się z propozycją wydrukowania w „Kamenie" mojego utworu pt. „Bliżej życia". Dla wstępnego zorientowania się w stylu i charakterze noweli załączam str. trzecią i dziesiątą z pracy liczącej str. dziewiętnaście. Warunki autora: druk na miesiąc marzec br., honorarium do ewentualnego omówienia, a w razie rezygnacji z druku proszę o zwrot załączonych str. Z poważaniem dla (wórczej pracy...".

A tak wygląda fragment Pyna noweli ze str. dziesiątej:

„A. z N. weszli do kawiarni. Minęli salkę barową, a po przeciśnięciu się wśród tańczących zajęli stolik w pobliżu okna. Zapalili papierosy. Smugi dymu papierosowego unosiły się nad ich głowami, albo znikały porwane wirującymi kółkami lub nakładały się na pasma snujące się ku oknu. Keiner w odpowiednim czasie przyjął i teraz odchodził dostarczywszy zamówienie. Orkiestra w kolejnej przerwie uwalniała się od instrumentów. W sali narastała to malała ta ulna wrzawa i śmiechy, pojedyncze, i grupowe, tłumione i wrzaskliwe przy różnych stolikach rozbawionych gości kawiarni. A. opróżniała butelkę tokaja. Piła wolno, błądząc wzrokiem po sali. Nie zwracała uwagi na tasujące ją spojrzenia kobiet, częściej mężczyzn. Ktoś unosił się nad stolikiem, inny odchodził, ktoś inny siadał do stolika".

A jeszcze ktoś inny wzbogacał w tym czasie literaturę. Jak Pan widzi, wydrukowaliśmy nawet przed terminem. Z dalszych stron jednak rezygnujemy!

S. M. w Toruniu. Robi Pan wyraźne postępy. Dziękujemy za nadesłane utwory. Jeden lub dwa postaramy się wydrukować.

A. R. we Wrocławiu. Używa Pan pseudonimu, bo — jak Pan pisze — Pana nazwisko „kojarzy się z pewnymi grubymi rybami". Nie jesteśmy znawcami ichtiologii. Natomiast jeśli chodzi o Pana wiersze sądzimy, że jeszcze za wcześnie na debiut. To dopiero próby poetyckie.

T. S. w Bielawie. Ma Pan już abonament w rubryce odpowiedzi redakcyjnych. W wierszu pt. „Przedwiośnie" pisze Pan m. in.: „Przedwiośnie, tak, przedwiośnie. Wiersze na wydanie czekają — wiersze biedne! Tyleż mego trudu! Południe. I koguta mego słyszę pianie. On nie pieje na widok mej poezji-cudu". Nie tylko kogut nie pieje...

A. L. w Kielcach. A jednak wolelibyśmy Pana wiersze sprzed dziewięciu miesięcy. Na razie nie skorzystamy.

A. B. w Łańcucie. W Pana wierszach za dużo prozaizmów. Jeszcze za wcześnie na debiut, ale proszę nie tracić nadziei.

Red. (cytujemy wg adresu nadawcy na kopercie) **S. B. w Bolechowicach.** Przesyła Pani wiersze i pisze: „...byłby to debiut. Dotychczas bowiem zajmowałam się tylko dziennikarstwem i to bez szczególnego skutku". I w poezji nie wróżymy „szczególnego skutku" czytając choćby taki fragment: „Nie wiedziałam, że niebo jest niebieskie, ani że trawa ma zielony kolor. Nie wiedziałam, że życie bywa pieskie... Także, że z niczego można mieć polot". Ejże! Pani wiersz tego nie potwierdza...

Z. P. w Krakowie. Dziękujemy za miłe słowa, ale nie możemy się zrewanżować. Najdelikatniejsza ocena Pana wierszy: bardzo słabe.

A. S. w Starachowicach. Można oczywiście, dyskutować nad współczesną poezją, ale wiersz o Bieszczadach, który Pan nadesłał, nie ma żadnej wartości. A rymów typu: „grają-znają", „bohatera-filiżanka", „męstwa-zwycięstwa" starają się unikać nawet początkujący poeci.

J. A. W. w Policach. W jakim celu przysłał Pan te dwa słabe wiersze? Jeśli myślał Pan o druku, to musimy Pana zmartwić.

S. T. w Gnieźnie. List Pana przeczytaliśmy z przyjemnością, niestety — wiersze rozczarowały. Nie możemy stwierdzić, aby było w nich „trochę sensu i wartości sztuki pisania".

M. P. w Łodzi, R. K. w Poznaniu, A. B. w Warszawie, Bas. w Opolu, K. K. w Gdyni, M. P. w Szczytnie, R. K. w Krynicy, I. w Rzeszowie — nie skorzystamy.

Alina Guzowska w Lublinie. Prosimy o podanie adresu celem przekazania honorarium.

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Redaguje zespół. Redaktor naczelny: MAREK ADAM JAWORSKI. Sekretarz redakcji: JERZY DOSTATNI. Adres redakcji: Lublin, Graniczna 7. Telefon 2-34-49.

Przedstawiciele w trzech województwach:

TADEUSZ BARTOSZ — Kielce („Słowo Ludu" — tel. 82-26).

JAN GRYGIEL — Rzeszów („Nowiny Rzeszowskie" — tel. 20-51).

STANISŁAW ŚWIERAD — Białystok („Gazeta Białostocka" — tel. 37-41).

Informacji w sprawie prenumeraty udzielają placówki pocztowe i RUCH. Redakcja nie zwraca niezamówionych materiałów.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Aleje Racławickie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4.

Zam. 300. 25.1.66. L-4

Szopka rzeszowska

(fragmenty)

Tekst: WŁADYSŁAW SZWAJA

Rysunki: STANISŁAW GLIWA

Król

(siadając na tronie):

Królowie królują,
pasterze pracują,
wojują rycerze
aż ich ktoś do władz wybierze.

A nasza nowa rada
niedawno wybrana
ma ci oprócz rycerzy
i ojca Gardiana.

Hej, biegnijcie rycerze
choćby na kraj świata,
niech się przede mną stawi
miasta wicetata!

Gardian

(śpiewa na mel. „Raz dwa, trzy żołnierze wracają"):

Ciężkie życie w Magistracie
wicetaty na etacie.
Ale wiem, co teraz zrobię
się po głowie po-Oskrobię

Chór

Raz, dwa, trzy,
ładnie panie święty,
wiadukt nie zaczęty,
ani żadna z tras.
Raz, dwa, trzy,
choć się Rada zwija
choć się Żądło wbija
w nas.

Gardian

Inwestycja pogrzebana:
bęc Gardiana za Kulana,
no bo Kulan zbłądzić może,
przecież mieszka w strasznym
DBORze.

Chór

Raz, dwa, trzy
rosną inwestycje
niczym fortalicje
po trzydzieści lat
Raz, dwa, trzy
lud interweniuje,
bo mu wciąż brakuje
chat.

Diabeł

Ha, zacni mieszczanie,
teraz moje panowanie
na stolcu zasiadam,
kolektyw zakładam,
całym światem władam.
I wy, którzy siedzicie za własne
pieniądze
jesteście w mojej mocy.
JA wszystkimi rządzę!

(Wchodzi kolejarz, czerwona czapka, gwizdek, latarka)

Kolejarz

(do diabła):

— Czy szanowny pasażer
wyleciał na głowę?
— Wszystkimi rządzą Polskie
Koleje Państwowe...

(Śpiewa na mel. „Titina, ach Titina"):

Po torze mkną wagony
co drugi oświetlony,
co trzeci ogrzewany,
pulmany, że o rany!
W wagonach ludzki filet,
co dziurkę ma i bilet
i czeka na tę chwilę
gdy podróż skończy się.

(Mówi):

A kiedy przyjdzie ta chwila
pasażer się nie wychyla,
nie jedzie z cuchnącym towarem
i wodę opuszcza pedalem.

Nie pluje, nie zanieczyszcza
i wszystkie kary uiszcza,
dopłaca do rezerwacji
i nie używa na stacji.
Lecz mimo tego szkolenia
pasażer nas nie docenia.
Raz: opóźnia nam pociągi,
dwa: powoduje w nich przeciągi,
trzy: brudzi spodnie na siedzeniu,
cztery: chowa króliki w oświetleniu
pięć: na rozkład jazdy nacisk
kładzie
choć każda jazda jest w rozkładzie.
Mówi, że winni kolejarze..
A kto jest winien?
Wiadomo, pasażer...
(Śpiewają razem z diabłem na mel. „Rodzina"):

Pasażer jest winien,
że brudno na stacji.
Pasażer jest winien,
że brak informacji.
Pasażer jest winien,
że na PKP
pieczątkę w bilecie
przybito mu źle!

Pasażer jest winien,
że w kasie brak drobnych.
Pasażer jest winien,
że pociąg spóźniony.
Pasażer jest winien,
że ścisk i że chlew,
pasażer jest winien,
że jedzie w WC.

Pasażer jest winien,
że brak na stacji rynien,
pasażer jest winien,
że wagon spadł z szyn
i że dyżurnemu urodził
się syn...

Anioł

Zwykle panie kronikę robią
towarzyską.
Oto wchodzą, przynosząc
imponderabilia
Krystyna i Cecylia i Maria Cecylia.

Dziennikarki

(Trzy dziennikarki śpiewają na melodię „Ładna poleczka bo skoczna"):

Mecenasowa z dziennika,
fartowna podwika
tnie kulturalne ploteczki
do kretonowej gazetki.
Coraz „Widnokrąg" zasili,
co by bez niej tam robili?
Słowo Krystyny jak lilia,
a Maria Cecylia
pośród koncertów pomyka,
szuka, gdzie Janko Muzykant
i w wojewódzkim organie
opisuje całe granie.

A ta Cecylia bez Marii,
co francaise vous parli,
z trybuny do nas przemawia,
rzeczpospolitę naprawia,
lecz za okryciem negliża
podróżuje do Paryża.

Korowód

(Śpiewa na mel. kolędy „Przybieżeli..." zwracając się do dziennikarek):

Idźcie w teren, moje panie, bo
warto.
Pałac Sztuki z malarzami otwarto.
Otwarli ci go przecie
w samo dwudziestolecie
remontu, remontu...

(Mówi):

Prócz synagogi mamy w kulturze
esy floresy i rzeczy duże.
Z tych rzeczy dużych dla
filharmonii
budowa gmachu — w ciężkiej
agonii.
Teatr wymienia skład osobowy
w różnych wydziałach sypią się
głowy
a Pleśniarowicz mimo zapału
spadł z dużej sceny na scenę
małą.
Estrada program robi (bokami)
Turska wystawia. Pierś z orderami.
A Stein, dyrektor, swoje zespoły
szkoli na kursie. Samochodowym.
Na dni Rzeszowa będzie wagantem
i do ratusza wjedzie Trabantem.

(Korowód śpiewa na mel. kolędy wstępnej):

I w kulturze
się polepszy,
bo gdy przyjąć
aspekt szerszy
mamy oprócz
pięknych planów
trochę orłów
i Baranów
Sandomierski.
Już świergola
strofy Loebla
i Paslawski
grzmi ze szczebla.
Ambros w tubę
zadmie czasem,
a Czajewski
gruchnie basem,
gruchnie basem.

Rektorzy

(jako wędrowni bakałarze, śpiewają na mel. „Złota kareta"):

My dwaj w Rzeszowie pierwsi:
Woźniacki i Niedzielski,
mamy licencje
na magnificencje,
dach mamy i cosinus
i własny styl plus minus.
Dźwigamy dzielnie
rzeszowskie uczelnie na barkach
swych.

Choć na studencie student
trzeba im wkręcić śrubę,
wbijać hołubce
na Baranówce,
łopatą klaść do głowy,
jak w szkole podstawowej,
gnać na wykłady
nim zejdą na dziady za parę lat.

Studenci

(śpiewają na mel. „Gaudeamus igitur"):

Może rektorowie zechcą
pofolgować.
chcemy się w Rzeszowie
aklimatyzować.
Wypędzili nam uczelnie
na dalekie peryferie;
więc, studencie, ciesz się,
że choć jadasz w mieście.

Nie ma STS-u, życie jak na
smyczy
Co pięć kilometrów dom
akademicki.
Zamiast siedzieć w kawiarence
w tył musimy trzymać ręce,
aż pełnych rozumu
nos habebit humus.

Rektorzy

(śpiewają na poprzednią melodię):

Kiedyś tu już wiązł, maluśki,
paputki włóż na nóżki,
męcz się i pracuj.
i nie podskakuj.
Potem ci już zostanie
wieczne odpoczywanie,
gdy stąd odpłyniesz
z tytułem „inżynier" na wieczny
staż.

PrzyjŻałem się...

Panie Redaktorze, może udałoby się „Kamenę" przekształcić w pismo ZM ZMS w Lublinie? Właśnie dość dokładnie obejrzałem jednodniówkę „Razem" przygotowaną z okazji XI Miejskiej Konferencji Sprawozdawczo-Wyborczej ZMS. Panie Redaktorze, co za papier! Cudo! Widać, że my, młodzi, umiemy walczyć! Przynajmniej o dobry papier.

A jak mi się podobała — zapewne Pan zapyta — sama jednodniówka? Cóż ja, szeregowy członek ZMS, mogę na ten temat powiedzieć nie naraziwszy się Zwierzchności? Ale szczerość, podobno, popłaca.

Pani (czy Towarzyszka) Mirosława Knorr w „Pieśni dziadowskiej o ZMS" napisała: „Gdy zaprosili (dziadka) przyszedł dzisiaj wcześniej, Spojrzy na lewo, na prawo: rówieśnik. Co trzeci dźwiga jak się przyjrzeć bliżej Już czwarty krzyżyk..." Odnoszę wrażenie, że i większość osób, które „jednodniówkę społecznie opracowały", to rówieśnicy dziadka!

Już wstępny artykuł „Do czytelników" budzi niejakie wątpliwości. Redaktorzy jednodniówki szczegółowo wyjaśniają, dlaczego nazwali ją „Razem". Razem z kim? — pytają i udzielają odpowiedzi. Kogo i czego tam nie ma! A więc: razem z PZPR, razem z najofiarniejszymi bojownikami o sprawiedliwość społeczną, razem z młodzieżą i ludźmi całego świata, którzy dziś walczą o wyzwolenie się z jarzma kolonializmu, razem z młodzieżą wszystkich krajów obozu socjalistycznego, razem z całym społeczeństwem naszego kraju („wszędzie tam gdzie buduje się piękniejszą przyszłość") i wreszcie „razem z mieszkańcami Lublina w przezwyciężeniu wszystkich trudności dnia dzisiejszego, w rozwiązywaniu skomplikowanych problemów społecznych, gospodarczych i kulturalnych".

Koledzy, chciałoby się zapytać, po co te truizmy? Po co wydeptywać dawno już wydeptane ścieżki? Przecież nawet przedszkolak wie, że nie razem z bandą Czang-Kai-szeka czy rekinami z Wall Street!

A tytuły poszczególnych artykułów? „Symbol naszych idei", „Podstawowe ogniwo", „Droga wybrana słusznie", „Trudne zadanie przodowania", „Współzawodnictwo", „Niech świadczą czyny", „W interesie młodego człowieka", „Wielki czyn", „Idee", „Młodzież wobec jubileuszu".

Brr... Przeglądałem niedawno roczniki gazet z lat 1950—1954. Odnoszę wrażenie, że redaktorzy „Razem" dokonali brzydkiego plagiatu(?).

Nie wiem, czy korekta też pracowała społecznie. A może to wina samego autora notatki pt. „Malinowa"? Wyłowiłem tam takie kwiatki: „przyjżeć", poprostu", „wejżeć". Ejże, kto się tak przyjża!?

Panie Redaktorze! Słowo daję, że nie wybrzydzam. Uważam jednak, iż wydawanie jednodniówki — chociaż to praca społeczna — coś niecoś PRL kosztuje i nie można takimi błędami kompromitować się w oczach samej młodzieży.

A przecież w tymże samym numerze „Razem" znalazły się bardzo interesujące wspomnienia Bernarda Pirogowicza „My z ZMP" (tylko znów zabrakło ręki adiustatora, który wykreśliłby te wytarte zwroty „w twardych latach pracy i walki", „uzbrojony po zęby", „świadomość zdobywano w pośpiechu, w pracy i walce"), żywo napisany artykuł A. L. Gzelli „Kultura — tak, ale jak?" (bodaj jedyny tytuł zachęcający) czy cięty felieton (autor, autor!!!). „W patetycznej tonacji". Pamiętnik „Niech świadczą czyny" — sfingowany. Widać to na kilometr.

Sądzę, że drętwa mowa to największy wróg organizacji młodzieżowych. I gotów jestem założyć się o całą moją pierwszą pensję (jak zakład przegram, to i tak będę wypłacany za siedem lat), że nawet najbardziej oddany aktywista ZMS nie przeczyta tej jednodniówki od pierwszej do ostatniej strony! Uśpią go sztampa, slogany, mnogość liczb. Lepiej niż luminal!

Naprawdę szkoda! Szkoda, że przed wydaniem „Razem" razem nie pomyślano.

Jacek

Z życia wzięte

METODA

BARDZO długo sprawa ta nie wzbudzała we mnie żadnych podejrzeń. Przeglądał człowiek gazety. I spośród doniesień o przewrotach, porwaniach i katastrofach wyławiał krzepiące ducha wiadomości, że gdzieś w dalekich krajach polscy artyści odnieśli nowe sukcesy. Rosło w człowieku serce, gdy czytał o przepełnionych salach i entuzjazmie słuchaczy, rozpierała go duma od niekończących się bisów i nowych, wspaniałych propozycji. Gdyby sukcesami artystycznymi mierzyć siłę kraju, Polska okazałaby się głównym mocarstwem świata.

Przyzwyczajenie jest jak nałóg, trudno się wyzwolić spod jego wpływu. Ze sportem, na przykład, nigdy nic nie wiadomo. Kiedy liczymy na sukces, dostajemy baty, ale gdy na zawody jedzie ekipa pozbawiona jakichkolwiek szans, przywozi złote medale. W kulturze natomiast wszystko jest pewne i z góry wiadome. Każdy wyjazd — to triumf, każdy koncert — to sukces. Przyzwyczaił się człowiek do tych zwycięstw, wierzył, że tak jest naprawdę.

Czyżbym miał jakieś wątpliwości?

Niedawno ekipa polskich muzyków, reżyserów i scenografów zaproszona została do Wiednia, by w tamtejszej Operze wystawić naszą poczciwą „Halkę". Odsiecz wiedeńska trwała długo, artystyczna husaria toczyła ciężki bój. W końcu odbyła się premiera. Po pewnym czasie która warszawskie pismo zamieściło wywiad z jednym wodzem wyprawy. Dowiedzieliśmy się, że polska ekipa odniosła w Wiedniu nową wiktorię. Wszystko podobno było świetne. Przedstawienie, muzyka, oprawa plastyczna. „Halka" stała się sensacją naddunajskiej stolicy. Wkrótce jednak do Polski nadeszły najbardziej miarodajne wiedeńskie dzienniki. Okazało się, że „Halka" zrobiła klapę.

Począłem uważniej śledzić doniesienia o naszych sukcesach artystycznych. I metodę informowania o nich.

Metoda jest genialna.

Oto wyjeżdża jakiś zespół za granicę. Przez dwa tygodnie nie wiadomo, co się z nim dzieje. Nareszcie PAP nadaje krótki komunikat: „Polski zespół wystąpił w takim, a takim kraju i po dwutygodniowym tournee wraca do kraju".

Potem znowu cisza. Wreszcie w jednym dniu, jak na umówiony sygnał cała polska prasa przynosi szczegóły artystycznej wyprawy. Wielki sukces za oceanem!" „Entuzjazm towarzyszył polskiej ekipie!" „Rewelacyjne recenzje i nowe oferty!" „Dwutygodniowe pasmo sukcesów!" Tytuły krzyczą na całą szerokość kolumn. Szczegółowy opis triumfów zespołu przyprawia o zawrót głowy: koncerty, owacje, przyjęcia. Coś niespotykanego! W tej atmosferze radości nikt nie zwraca uwagi na drobny szczegół: wszystkie informacje pochodzą od kierownika zespołu, od człowieka najbardziej zainteresowanego. Najmniej obiektywnego.

Metoda autoreklamy ma wiele odmian i ulepszeń. Kiedyś wyjechał na występy zagraniczne młody przedsiębiorczy muzyk. Po kilku dniach znany magazyn ilustrowany przyniósł od niego pierwszą wiadomość:

„Przed godziną inauguracyjny koncert. Bisy, bisy. Owacje. Miasto piękne. Pozdrowienia dla czytelników". Podpis.

Potem, już co tydzień, ukazywały się regularnie owe kartki.

Samoobsługa, jaką do perfekcji doprowadzili niektórzy nasi artyści poczyna wydawać plony. Ostatnio zaczęli ją naśladować sportowcy. Oto w „Sporcie" natknąłem się na tytuł: „Zachwyty Finów nad koszykarzami Śląska". Oczywiście, informuje o nich... trener zespołu. „W Finlandii byliśmy niezwykle gościnnie przyjmowani. Prasa pisała o naszej grze w samych superlatywach..."

Wystarczy, że z tej samej metody skorzysta nasz handel zagraniczny, a zaczniemy odnosić upragnione sukcesy i w tej dziedzinie. Pewnego dnia może się, na przykład ukazać taka mniej więcej notatka:

„Triumf polskiej szkoły zegarków"!

„Po powrocie z podróży handlowej po Szwajcarii starszy radca dyr. K. Twarzyk informuje: — Polskie zegarki wzbudziły sensację i podziw wśród szwajcarskich handlowców. Zebrały one wiele pochwał, koła fachowe wyrażały się o nich w samych superlatywach. Tak więc moja wyprawa do twierdzy przemysłu zegarmistrzowskiego zakończyła się pełnym sukcesem".

Tyle dyr. Twarzyk. Na marginesie trzeba wspomnieć, że zegarki polskie mogłyby rzeczywiście wzbudzić niekłamany podziw, są przecież najszybsze na świecie.

Metoda zastosowana przez podróżujących artystów ma wielką przyszłość. Dzięki niej będzie można poczynić wiele oszczędności. Jeśli za granicę nie wyjeżdżają krytycy muzyczni i teatralni, to nie muszą również wyjeżdżać sprawozdawcy sportowi. Trenerzy najlepiej poinformują opinię w kraju o osiągnięciach swych podopiecznych. I postarają się, aby nawet ostatnie miejsce okazało się sukcesem. Podobnie trzeba zrobić w innych dziedzinach naszego życia.

Metoda ma jednak pewną wadę. Wśród wyjeżdżających na występy artystów są tacy, o których prasa zagraniczna pisze naprawdę w samych superlatywach. W Polsce jednak nic o tym się nie wie. Jest to jednak wyłącznie ich wina. Nie mają znajomych magazynów, które by drukowały im pozdrowienia i nie umieją po powrocie do kraju zorganizować konferencji prasowych. Są po prostu zupełnymi analfabetami w dziedzinie autoreklamy.

Zresztą, dobrze im tak. Z analfabetyzmem skończyliśmy już dawno. Jak się niczego nie nauczyli, niech cierpią.

Bar.